

Jak się zwalnia Katarzynę Dowbor

- rozmowa Agnieszki Urazińskiej

Nie w typie dyrektora

MONIKA
TUTAK-GOLL



Moja mama - wtedy jakoś przed emeryturą - pojechała kiedyś do pracy na rowerze. Szef, niewiele młodszy od niej, zrobił wielkie oczy: „W tym wieku na rowerze? Niech się pani nie wygłupia, bo pani do emerytury nie dociągnie!”. Mama mówiła mi potem, że żartował. A ja myślę, że wcale nie. On nie żartował, mówił całkiem poważnie. Bo tak właśnie myślał: że kobiety w pewnym wieku nie są aktywne. Że są na aktywność za stare. I że im nie przystoi, nie wypada, a może to dla nich niebezpieczne jeździć ot tak, bez troski na rowerze po mieście.

To był szef, który w głowie miał jedno wyobrażenie: kobieta w pewnym wieku powinna zniknąć, stać się niewidzialna. Także na rynku pracy.

Bo to był szef, jakich wielu w Polsce, jeden z tych, którzy kończą współpracę, gdy kobieta osiągnie wiek emerytalny. Taki, który nie widzi w swoim ładnym sklepie kobiety po sześćdziesiątce. Albo taki, który uważa, że kobieta, która kończy 60 lat, nagle przestaje sobie radzić z rachunkowością i finansami. A może taki, który po prostu lubi wymieniać pracowniczkę na młodszą, bo wydaje mu się, że są szybsze, sprawniejsze, bystrzejsze, bo dobrze wyglądają za ladą, w biurze, przed kamerą.

Dane są nieubłagane: Polska ma jeden z najniższych wskaźników zatrudnienia osób 55-64 lata w Unii Europejskiej. Z tych

statystyk wynika, że kobiety dostają po głowie wielokrotnie: zrabiają mniej, bo są kobietami, a potem są zwalniane, bo są kobietami, „za starymi na pracę”. Przed pandemią GUS alarmował, że spada aktywność zawodowa kobiet powyżej 50. r.ż. Pandemia tylko tę przepaść pogłębiła. Kobiety z największym stażem i największym doświadczeniem zwalniają się raz-dwa, bez skrupułów.

„Zwolniono mnie w 15 minut” - opowiada w dzisiejszych „Wysokich Obcasach” Katarzyna Dowbor. I jest to opowieść gorzka: „Dostałam komunikat, że spowalniam ten pociąg. Nie mając argumentu dotyczącego moich umiejętności zawodowych, zastosowano taki - nieprawdziwy - że nie daję rady fizycznie i psychicznie”. I dodaje:

„Myśnię się w polskiej telewizji zachłysnęła młodością, długimi nogami, poprawianiem urody. To jest bez sensu, bo wiek i doświadczenie są w cenie”.

Katarzyna Dowbor ma teraz misję: przekonać kobiety, że bez względu

Kobiety z największym doświadczeniem zwalniają się raz-dwa, bo są „za stare na pracę”

na wiek czy wygląd mogą dużo osiągnąć. Stała się rzeczniczką kobiet wypychanych z rynku pracy. Chce im mówić, że nawet jeśli są starsze i nie w typie dyrektora, to są wartością. I że nigdy nie są na coś za stare. Stare może być co najwyżej wyobrażenie o tym, co powinny, a czego już nie. Tak, ono jest przestarzałe. ♦

Monika Tutak-Goll - dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów” i „Wysokich Obcasów Extra”



„PSYCHOLOGIA DLA RODZICÓW” JUŻ W SPRZEDAŻY

Nauczmy się mądrze wspierać dzieci

Jak mądrze wzmacniać dzieci? Kiedy iść do psychologa? Jak chronić dzieci przed przemocą rówieśniczą? Czy są sprawdzone sposoby na problemy z odżywianiem?

W najnowszym numerze „Psychologii dla rodziców” znajdziecie mnóstwo wskazówek najlepszych ekspertów i ekspertek na temat psychologii, edukacji oraz zdrowia dzieci i młodzieży.

W wydaniu także rozmowy z rodzicami oraz osobiste felietony macierzyńskie naszych autorek. Numer dostępny na kulturalnysklep.pl oraz w większych punktach sprzedaży prasy.

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



@WysokieObcasy.pl



wysokieobcasy.pl

listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJA:
Monika Tutak-Goll
- REDAKTORKA NACZELNA

Katarzyna Pawłowska
- zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska

URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak

MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzuszczkowska,
Marta Rozenbajgier,
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko

DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Paweł Bajer,
Łukasz Irzyk,
Mariusz Rosa

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk,
Anna J. Dudek, Magdalena Keler,
Agnieszka Mularczyk, Katarzyna
Seller, Magdalena Stroka-Felicka,
Paula Szewczyk, Natalia Waloch,
Joanna Wróżyńska

INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Aleksandra Mijakoska-Siemion,
Anna Woźniak

KOREKTA:
Małgorzata Mysłowska

SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Agora SA

PREZES ZARZĄDU:
Bartosz Hojka

WYDAWCA:
Agora SA
BUSINESS OWNER:
Katarzyna Owczarek
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTORKA BIURA REKLAMY:
Joanna Kwas
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Katarzyna Obidowska

DYREKTOR MARKETINGU:
Michał Bauer

SPECJALISTI DS. PROMOCJI:
Adrianna Dobrzyńska, Sylwia Wójcik

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański

NAŚWIETLANIE I Druk:
Agora SA Warszawa

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 66 00

Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega sobie
prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 13, 40 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 22 (1241)

NA OKŁADCE:
KATARZYNA DOWBOR
FOT. RAFAL MASŁOW





Nie mogę się *poddać*

ZACHWYT TYGODNIA

Monika Redzisz o Aleksandrze Chrzanowskiej



Jest jedną z tych, którzy stworzyli rzecz zadziwiająco i budzącą optymizm w całym tym nieszczęściu, jakie nas otacza: oddolny, obywatelski, świetnie zorganizowany system pomocy humanitarnej na granicy polsko-białoruskiej. Wyręczający w tym nasze państwo. Żaden uchodźca zabłąkany w puszczy, który poprosi ich o pomoc, nie zostanie jej pozbawiony. Uratowali już tysiące ludzkich istnień. Z przymusowymi migrantami pracuje od blisko 20 lat: z Lekarzami

bez Granic, w Stowarzyszeniu Interwencji Prawnej, w ramach Grupy Granica. W niesienie pomocy na granicy polsko-białoruskiej zaangażowała się już na samym początku kryzysu humanitarnego, kiedy tylko dowiedziała się o stosowaniu przez Straż Graniczną nielegalnej praktyki push-backów. Właściwie zamieszkała na Podlasiu; jest w lesie niemal codziennie od prawie dwóch lat. Kiedy przychodzi zgłoszenie, pakuje do 90-litrowego plecaka wodę, gorącą zupę i herbatę, suche

prowiant i powerbanki, ubrania i buty – i wyrusza do lasu. Teren bywa tu czasem tak trudny, bagnisty, pełen zwalonych drzew, że na przejście kilometra potrzebuje trzech godzin.

– Ludzi w lasach jest wciąż bardzo dużo, mur na granicy ich nie powstrzymał. Codziennie spotykam kilka, kilkanaście osób – odwodnionych, wycieńczonych, poranionych drutem kolczastym, zatrutych wodą z bagien – opowiada. – Ale im bardziej naruszane są prawa człowieka, im bardziej

łamane jest prawo, tym większą złość to we mnie wywołuje i tym większą moc do działania daje. Służby działają tak, żeby nas zastraszyć i zniechęcić. Wyskakują na nas uzbrojeni, zamaskowani żołnierze i każą nam się kłaść na ziemi z rękami za głową, a Straż Graniczna wmawia nam, że ułatwiamy migrantom nielegalne przekraczanie granicy i przypina nam łątkę przemytników. Ale we mnie wywołuje to przeciwny efekt. Mam poczucie, że po prostu nie mogę się poddać. ♦



Aleksandra Chrzanowska

– kulturoznawczyni, aktywistka Stowarzyszenia Interwencji Prawnej i Grupy Granica. Od 17 lat pracuje z przymusowymi migrantami jako doradczyni międzykulturowa i koordynatorka projektów

Monika Redzisz – dziennikarka „Wysokich Obcasów”, reporterką, fotografką



KATARZYNA DOWBOR

Starsza
pani
potrafi

Dostałam komunikat, że spowalniają ten pociąg.
Nie mając argumentu dotyczącego moich umiejętności
zawodowych, zastosowano taki – nieprawdziwy – że nie dają
rady fizycznie i psychicznie

Z KATARZYŃĄ DOWBOR
ROZMAWIA AGNIESZKA URAZIŃSKA
ZDJĘCIA RAFAŁ MASŁÓW

j

Jak się pani czuje?

Dobrze. Jestem jeszcze trochę zszokowana, że mam tyle czasu, bo od dziesięciu lat byłam ciągle w pracy. Szczerze mówiąc, rozpira mnie energia.

Żadnych problemów z poruszaniem się i kondycją?

Żadnych. Wyśmiewam trochę pogłoski, że to kiepskie zdrowie starszej pani było powodem mojego zwolnienia z programu „Nasz nowy dom”.

Po to ten film w mediach społecznościowych, gdzie widzimy panią grabiącą grządki, biegającą z taczką i szusującą na nartach?

Gdzieś mi się zawieruszyło ostatnie nagranie, jak galopuję konno, bo też bym je dołączyła do tego filmu.

Usłyszała pani mile słowo na do widzenia?

Nie pamiętam żadnej pochwały. Poczułam się upokorzona, dostałam komunikat, że spowalnia ten pociąg. Nie mając argumentu dotyczącego moich umiejętności zawodowych, zastosowano taki – nieprawdziwy – że nie daję rady fizycznie i psychicznie. Myślę, że właśnie o upokorzenie chodziło. Ale dostałam od dyrektora Miszczaka ogromny bukiet kwiatów. Znajome się śmieją, że jak ktoś będzie szedł z wielkim bukietem, to uciekną, bo pewnie przyjdzie zwolnić.

Co pani zrobiła z kwiatami?

Wstawiłam do wazonu. Kwiaty niczemu niewinne.

Jak się zwalnia Katarzynę Dowbor?

Szybko. Wszystko trwało 15, może 20 minut. Na rozmowę do dyrektora Miszczaka zostałam wezwana SMS-em. Rozmowa była prowadzona w asyście mojej pani producent, producenta z Polsatu i dyrektora Constantin Entertainment, firmy produkującej program. Oni byli w szoku nie mniejszym niż ja. Producentka miała w oczach łzy. Zapytałam, jakie są merytoryczne argumenty dotyczące mojej pracy – skoro ktoś mnie zwalnia, to powinnam chyba usłyszeć, że spóźniałam się do pracy, tworzyłam złą atmosferę, a może byłam nieprofesjonalna. Prawda?

Co pani usłyszała?

Że są to nowe badania i spadła oglądalność.

A nie spadła.

Już po moim zwolnieniu Wirtualne Media ujawniły wyniki raportu, z którego wynika, że w ostatnim sezonie oglądalność wzrosła o 45 tysięcy. Ja wszystko rozumiem. Nowy dyrektor ma prawo dobrać sobie współpracowników. Ale jeśli coś jest dobrze na-

oliwioną maszyną, przynosi stacji widzów, jeśli jest misja – to po co to ruszać? Po co psuć? Ale może ja się nie znam na telewizji?

A może pani się z kimś kłóciła?

Nigdy się nie pokłóciłam. Byłam tą starszą panią, która łagodziła spory, bo w ludziach, szczególnie młodych, buzuje hormony. Mówiłam rozjuszonemu: „Spokojnie, policz do dziesięciu, od-dychaj”. Z większością byłam po imieniu, szanowałam i czułam duży szacunek.

To może za bardzo panią lubili?

Ta sympatia nie była dla nikogo zagrożeniem, ja się nigdy nie pchałam na stolki, nie walczyłam o wpływy. Wiem, że można mnie też po prostu nie lubić. Z satysfakcją przeczytałam opinię: „Można lubić lub nie lubić, ale nikt jej nie odbierze profesjonalizmu i tego, że prowadziła dobrze ten program”.

Nie było merytorycznych argumentów?

Usłyszałam, że przyjeżdżam do remontowanych domów tym dużym samochodem, którym kieruję, a przecież nikt nie uwierzy, że jadę tak z samej Warszawy. No, ale trudno to potraktować jako argument merytoryczny. Mam tak zapisane w scenariuszu. A scenariusz można zmienić. Mogłam przyjeżdżać z szoferem. Albo dorożką. No i – co ważne – dyrektor powiedział, że potrzebne są zmiany: trzeba odświeżać, odmładzać, potrzebny jest ruch...

Czasem człowiek czuje, że atmosfera wokół niego gęstnieje.

Ja nie czułam. Byłam kompletnie zaskoczona. Po trudnej zimowej transzy, którą skończyliśmy nagrywać kilka tygodni wcześniej, miałam od producentów informacje, że była bardzo udana. Że są podpisane umowy sponsorskie na kolejny sezon. I wiedziałam, że program ma kolejną edycję. Dostałam rozpiskę od producenta, jak pracujemy. Odmówiłam udziału w innych projektach, bo program angażował mnie w pełni, a w planach była kolejna transza. Na kilka dni przed rozpoczęciem zdjęć dostałam tego SMS-a z zaproszeniem na rozmowę. Wszystko można załatwić ładnie. Tu było inaczej. Bo ludzie są życzliwi – dzwonią i opowiadają. Do mnie zadzwoniła koleżanka, która powiedziała, że miała propozycję, aby zastąpić mnie na stanowisku prowadzącej. Nie zgodziła się. „Coś ty, nie wchodzi się w czyjeś buty” – powiedziała. Ale powiedziała także, że tę propozycję dostała miesiąc wcześniej, zanim ja dostałam rozpiskę zaplanowanych nagrań. Zaraz po zakończeniu poprzedniej transzy już ktoś szukał mojej następczyni. To zabolowało.

Sporo pani ostatnio czyta na swój temat?

Zwróciłam uwagę, jak w wielu publikacjach próbuje się szukać potwierdzenia, że ja się nie nadaję do roli prowadzącej. Powyciągano stare artykuły sprzed ośmiu czy dziesięciu lat, pisano o mojej chorej tarczycy, która już dawno została wycięta. Choroba Gravesa-Basedowa, z którą się zmagalam, została zaleczona, a okres sterydowy mam za sobą. Wyciąganie tego po ośmiu latach i pisanie, że jestem nieuleczalnie chora, jest zagranieciem nie fair. Obracam to w żart. Ale to jest bardzo nieuczciwe. Osoby, które to wyciągały, wiedzą doskonale, że jestem już po operacji. A ja dodam, że mimo tamtych problemów ze zdrowiem nigdy nie zdarzyło mi się z ich powodu nie przyjechać na program czy przełożyć zdjęcia. Przez dziesięć lat pracy w programie opuściłam tylko dwa dni na planie, gdy mój własny koń kopnął mnie w kolano. To z mojej winy, nie z winy konia, bo weszłam nieodpowiedzialnie do boksu. Kobyłka przestraszyła się chyba bardziej niż ja. Mimo dość poważnej kontuzji opuściłam tylko dwa dni – ale zdjęć nie

przerwano. Zastąpiła mnie pani architekt. Z nogą w ortezie, o lasce przyjechałam i nagraliśmy, co było trzeba. Bardzo mi to ułatwiła produkcja. Tak kombinowaliśmy, żeby kontuzji nie było widać. No i proszę mi powiedzieć, jak osoba z problemami zdrowotnymi miałaby opuścić tylko dwa dni zdjęć w ciągu dekady? Wie pani, co jest niesamowite w tym programie? Jemu się trzeba poświęcić. Nie da się odwołać montażu mebli ot tak, bo ma się inne zobowiązania. Gdy moja córka się dowiedziała, że mnie zwolniono, powiedziała, że się cieszy. Bo nareszcie będzie sobie ze mną mogła swobodnie zaplanować urlop. Przypomniała, że odkąd skończyła 14 lat, zawsze słyszała o programie, zawsze najważniejszy był „Nasz nowy dom”. Ja się dostosowywałam. Nigdy nie mówiłam: „Nie przyjadę, teraz nie mogę, proszę zmienić terminy”. Fakt, produkcja zawsze mnie pytała o moje plany. A ja się starałam tak je ułożyć, żeby z niczym nie kolidowały. Na narty, które kocham, jeździłam w czasie ferii, żeby ekipa, w której było wielu rodziców, mogła też wyjechać z dziećmi na ferie.

Często pani powtarza, że pracowała ze wspaniałymi ludźmi. Bo to fantastyczni operatorzy, dźwiękowcy, kierownicy produkcji, budowlancy. Mówiłam do nich: „Dzieciaki (bo od większości byłam starsza), ja z wami spędzam więcej czasu niż ze swoją rodziną”. Bo my jesteśmy non stop na planie. Udało nam się przez dziesięć lat stworzyć supernaoliwioną maszynę. Wiem, kto ma jakie problemy rodzinne, kto ma zwierzęta. My w pro-

Mam misję – przekonać kobiety, że bez względu na wiek czy wygląd *mogą dużo osiągnąć*

gramie razem uwalnialiśmy zwierzęta z łańcuchów i tworzyliśmy nie tylko domy dla ludzi, ale także budy i schronienia dla ich zwierząt. Produkcja kupowała zwierzętom jedzenie. Naprawdę, niech mi pani wierzy, ja o tych dzieciakach wiedziałam bardzo dużo. O ich problemach, o dzieciach, o tym, że ekipa sprzątająca hoduje pszczoły. Byliśmy zgranym teamem. To ważne, żeby mieć przyjaciół w zespole, bo ten program jest trudny fizycznie i psychicznie – przejeżdżałam po 30 tysięcy kilometrów w sezonie. Był czas, że nagrywałam po dwa programy w tygodniu – z różnymi ekipami, w różnych miejscach. To było prawie 300 rodzin. Przez dziesięć lat wszystkie urodziny – a mam 7 marca – obchodziłam z ekipą. Dostałam od nich najpiękniejszy prezent – kolaż ze zdjęciami z planu, z rysunkami, żartami i napisem: „Najlepszej prowadzącej program »Nasz nowy dom«”. Powiesiłam go na głównej ścianie przed sypialnią. Najbardziej będzie mi brakowało właśnie tych ludzi. Tyle dni razem, tyle lat. Tyle dni, tyle lat.

A kiedy musieliście się rozstać?

Wie pani, co mnie najbardziej wzruszyło? Po moim zwolnieniu dzwonili i pisali. Dostałam SMS-y od kolegów, że jest im bardzo źle i przykro. Pisali kierownicy budowy, pracownicy, nawet członkowie ekipy sprzątającej znaleźli czas, żeby napisać. Nasza producentka i ja jesteśmy jedynymi osobami, które były przy każdym odcinku. Architektów jest troje, było czworo.

Ekipy się zmieniały. Udało nam się stworzyć dwie na stałe, wcześniej była jeszcze jedna. Wiem, że krążą legendy o ekipach budowlanych – o ich niefrasobliwości. Ale te nasze są naprawdę fantastyczne. Jestem pełna podziwu dla naszych chłopaków, którzy wkładali w pracę całe serce. Wspaniali są kierownicy – Wiesław, Artur, Przemek współpracujący ze swoim tatą, który jest stolarzem. Tadeusz, tata Przemka, potrafił podejść do mnie z prośbą: „Powiedz mi o tej rodzinie”. I widziałam łzy w oczach tego faceta, który tak strasznie się przejmował, że dzieci cierpiały niedostatek. Mieliśmy poczucie, że robimy coś ważnego. To dobrze, że mogłam tego dotknąć i spróbować.

Pamiętam, jak mówiła pani, że dla dziennikarza to praca marzeń.

Na początku to było przede wszystkim wyzwanie. Pamiętam początki, gdy firma Constantin Entertainment Polska przyszła z niemieckim formatem programu o remontach domów. Wygrałam casting na prowadzącą, byłam w tym projekcie od początku. Nie zapomnę, jak z ówczesnym szefem Constantin Piotrem Fromowitem i Olgą Toporowską, producentką, siedzieliśmy i wymyśleliśmy tytuł. Był nawet pomysł, aby w tytule było moje nazwisko. Bo programu nikt nie kojarzył, a mnie – owszem. Najpierw ja ciągnęłam program, później program mnie. A z tym tytułem to było sporo zamieszania. Ktoś wymyślił: „Pora na Dowbora”, ale przecież Dowbor to mój syn Maciek. Nie pasowało. Był pomysł „Dowborowa was urządzi”, ale to też nie weszło. Siedzieli-

śmy i główkowaliśmy. No i powstała robocza nazwa „Nasz nowy dom”. Tak zostało. Zastanawialiśmy się, jak ja mam ten program prowadzić. To był poligon doświadczalny. Pierwszy stand-up graliśmy ze 20 razy i wciąż coś nie pasowało. Bardzo się zaangażowaliśmy. Bo to nie było tak, że dostaliśmy gotowy format – prawie wszystko wymyśleliśmy po swojemu. Pamiętam pierwszą ekipę, przerażoną tempem. Myśleli, że będziemy udawać, że remontujemy w pięć dni. A my naprawdę tak pracowaliśmy. Przyjechałam na powitanie i okazało się, że – owszem – remont skończyli. I odjechali. Sprzątania w umowie nie mieli. Rzuciliśmy się wtedy całą ekipą do sprzą-

tania – kierownik produkcji, wicedyrektor Constantina, reżyser, dźwiękowcy – wszyscy biegaliśmy. Operator wziął miotłę, ja latałam ze ścierą. Opóźniliśmy ten finał i zamiast rano skończyliśmy wieczorem. Ale się udało. Oddaliśmy dom.

Czyli nie była pani tylko prowadzącą.

Próbowałam wszystkiego. Gdy słyszę, że nowością ma być teraz, że prowadząca, moja następczyni, będzie zbijać kafelki i burzyć ściany, to myślę: to już było. Ja też biegałam w kasku, rozwalalam kafelki, zgrzewalam rury z hydrauliczami. I doszliśmy do wniosku, że ja im bardziej przeszkadzam. W ekipie Artura był taki Jacek, budowlaniec, bardzo inteligentny, ale pyskaty. Był niski, sięgał mi do ramienia – to istotne dla tej opowieści. On się bardzo krzywił, gdy wchodziłam na plac budowy. Mruczał: „Czas nam tylko zabierasz, taka ta twoja pomoc”. Ja sporo potrafię zrobić w domu – sama sobie meble skręcam, mam piłę, wkrętarkę. Ale nie jestem profesjonalistką. Podobnie jak chłopaki z ekipy nie prowadzą profesjonalnie programów. No i pamiętam, jak miałam na planie wkręcać płytę z karton-gipsu – z jednej strony przykręciłam dobrze dwa profile, z drugiej śruba wchodziła za głęboko. Raz czy drugi źle wkręciłam i Jacek mówi: „Wiecie co, chłopaki, dajcie mi tu końcówkę dla amatora”. Szepnęłam operatorowi: „Nie wyłączaj kamery, to ja mu się odgryzę”. Nie trzeba było długo czekać. Stanęliśmy z płytą, którą trzeba montować do sufitu, Jacek prosi o drabinę, a ja na to: „Nie, Jacuś, ja sięgnę, nie trzeba drabiny”.



KATARZYNA DOWBOR

– dziennikarka z 40-letnim
doświadczeniem pracy w telewizji

I on zaczął się śmiać. Od tego czasu sporo humorystycznych scenek nakręciliśmy.

W programie widać, że rodziny, którym pomagacie, lgną do pani.

Udało mi się coś ważnego. Ja nie odgrywałam prowadzącej. Byłam sobą. Pamiętam rozmowy z moją mentorką Edytą Wojtczak. Byłam jej wychowanką i chciałam robić wszystko jak ona. A Edytka mi poradziła: „Nie udawaj mnie. Ty nigdy nie będziesz małą blondynką. Ty jesteś duża ruda. Bądź sobą”. No i byłam. Myślę, że dla naszych rodzin byłam osobą, której ufały. Gdy otwierały się drzwi, był płacz, wzruszenie. Oni naprawdę nie wiedzieli, że przyjadę, to nie było inscenizowane. I słyszałam od bohaterki: „Jak zobaczyłam, że pani tam stoi, byłam spokojna. Wiedziałam, że pani pomoże”.

I miała rację.

Ale sprostuję – nie ja pomogę, tylko ekipa. Czytałam czasem: „Dowbor wyremontowała”. To nie ja. Ja dużo lepiej się sprawdzam, rozmawiając z ludźmi. Bieda, brak środków, niepełnosprawność intelektualna, chore dzieci – to stygmatyzuje. Takie były nasze rodziny. A ludzie traktują takie osoby jak gorsze. Mamy tak, prawda? Nie podam ręki, nie dotknę, nie porozmawiam – bo ktoś ma mniej pieniędzy, jest gorzej ubrany, chory. Bardzo się starałam,

by moje rodziny zrozumiały, że gorsze nie są, że dla mnie są ważne. I oni czuli, że tak jest – dzieci opowiadały mi o rzeczach intymnych, powierzały swoje tajemnice, których nikomu nie zdradzę. Odbijałam wiele rozmów z tymi ludźmi. Wielu zapamiętam na zawsze – niekoniecznie z imienia czy miejsca zamieszkania. Pamiętam twarze, sytuacje, emocje.

Oni też pamiętają.

I to też mi dostarczyło ostatnio powodów do wzruszeń. Na fali zamieszania po moim zwolnieniu docierano do tych rodzin – mam wrażenie, że niektóre media szukały słabych punktów programu. Prowadzono rozmowy z kilkoma rodzinami, z którymi pracowaliśmy. Ci ludzie mówili: „Pani Kasia była dokładnie taka sama dla nas, jak widzieliście w telewizji. Nie zmieniała się, kiedy gasły kamery”. Dziennikarze dotarli do rodziny – nastolatka wychowywanego przez babcię – której wyremontowaliśmy dom. Ten chłopak jakiś czas po programie miał problemy i próbował popełnić samobójstwo, rzucając się pod pociąg. W wypadku stracił nogę. Zadzwoiłam wtedy do niego, długo rozmawialiśmy. Gdy teraz dotarli do niego dziennikarze, opowiadał, że przyszedł do mnie z babcią na spotkanie autorskie, a ja prosiłam, żeby opowiadali, co u nich słychać. No jak mogłam go nie poznać? Wspominał, że po wypadku, po naszej rozmowie udostępniłam na swoim profilu zbiórkę na protezę nogi dla niego i uzbierał potrzebną kwotę w dwa dni. Ci ludzie, ich historie będą do końca w mojej głowie.

Ze wzruszeniem oglądałam, jak sąsiedzi i bliscy ruszali do sprzątania obejścia rodziny i nie zapominali o ekipie.

To nie jest reżyserowane – ludzie tacy są.

Ostatnio remontowaliśmy dom na Mazowszu i jakaś pani przyniosła mi kosz serów własnej produkcji. Nie miałam czasu spróbować na miejscu, byliśmy w środku zdjęć. Rozpakowałam je w domu – Boże, jakie to były rewelacyjne kozie sery. I jaki miły, bezinteresowny gest. Na planie mamy przyczepę, w której czekamy na zdjęcia, czasem coś jemy. Któregoś dnia zapukała jakaś kobieta: „Jestem rodziną tych państwa, którym właśnie remontujecie. Upiekłam chleb, zrobiłam smalec, przyniosłam ogórki własnej roboty. Czy pani się nie obrazi?”. A ja na to: „Kobieto, Kocham panią, będę wdzięczna i dziękuję”. Wiele razy zetknęłam się z tym, że ludzie z wdzięczności, z sympatii chcieli się dzielić tym, co mieli, co robili najlepiej. Takie dary są bezcenne. Nam się udało pomóc prawie 300 rodzinom, ale przede wszystkim wyzwolić w ludziach dobro. Nie zapomnę rodziny – wdowa z dwoma chłopcami. My czasami lubimy zajrzeć do naszych bohaterów po jakimś czasie, sprawdzić, jak sobie radzą. Przyjeżdżamy, a tam oprócz domu wyremontowanego także budynek gospodarczy, zrobione ogrodzenie. A oni się cieszą, czekają z ciastem. Mówię: „Chłopaki, ale daliście radę”, a oni na to, że po programie przyszła cała wieś i pomogła. To właśnie siła tego programu – on wyzwala dobro. Owszem, zdarza się, że ludzie zazdroszczą – komuś dom podpalili, coś popsuli. Ale takie sytuacje zdarzały się na szczęście sporadycznie. Czytałam gdzieś ostatnio o spontanicznej akcji sąsiadów, którzy wyremontowali chatkę starszej, schorowanej pani.

Też czytałam. Prawie jak w programie.

Powielili ten pomysł. Cudownie. Bo ludzie, proszę pani, są dobrzy.

Mówi pani o programie wciąż w czasie teraźniejszym.

Jeszcze się nie przyzwyczaiłam, że to jest przeszłość. Że to zostało przez kogoś zakończone. Mnie się ciągle wydaje, że się obudzę i każą mi przyjechać na zdjęcia. Muszę się pogodzić, że to bez powrotu. Muszę się nauczyć żyć bez tego programu. Ale ja się nauczę. Jestem dzielną kobietą i się nauczę.

Pani następczyni Elżbieta Romanowska nie została ciepło przyjęta przez widzów. Żali się, że zmagają się z hejtem.

Nie ma sensu hejtować kogoś, kogo się jeszcze nie widziało na planie. Trzeba dać szansę. Wiem tylko, że temu programowi trzeba się poświęcić bez reszty. On jest tego wart, ludzie, którym się pomaga, potrzebują tego.

Widzowie nie mogą się pogodzić z tym, że pani nie zobaczą.

W tym programie. Bo ja mam sporo innych pomysłów. Zobaczyłam, jak ogromne mam wsparcie widzów i jak oni potrzebują kontaktu. Jestem im ogromnie wdzięczna. Czytałam: „Pani Kasiu, Kochamy panią, jest pani ważna”. Pomogli mi przejść przez ten pierwszy, najsmutniejszy dla mnie moment. Dali mi siłę, żeby wstać, otrząpać się, powiedzieć: „Ja chcę się z wami jeszcze spotykać, jeszcze dużo mogę zrobić”.

Wygląda na kolejną misję.

Mam misję – przekonać kobiety, że bez względu na wiek czy wygląd mogą dużo osiągnąć. Po zwolnieniu przeżyłam szok, było niedowierzanie. A teraz chcę pokazać, że starsza pani potrafi. Mam ogromny apetyt na życie. Mam 64 lata i tyle pomysłów! Mam tyle pomysłów. Jeśli jedne drzwi się zamykają, to boli. Ale są inne. Nie wolno się poddawać. Trzeba walczyć.

Nie każdy jest Katarzyną Dowbor.

Każdy jest wartości. Nie trzeba być Katarzyną Dowbor. Za to, owszem, przydadzą się ludzie – przyjaciele, rodzina – którzy powiedzą: „Jesteś fajna, wartościowa”. Ja takie wsparcie dostałam i to mi dało ogromną siłę. Chcę się nią dzielić. Chcę mówić kobietom, że nawet jeśli są starsze i nie są w typie dyrektora, to są wartości. Kobietom trzeba powtarzać: „Jesteś wspaniała. Chuda, z nadwagą, starsza czy młodsza”. Kobiety powinny to słyszeć, żeby uwierzyć, że są wiele warte. I nigdy nie są na coś za stare. Nie dajcie sobie tego wmówić.

Pamiętam naszą rozmowę sprzed dwóch lat. I pani słowa wtedy – odnoszące się do kultu młodości – że znanej osobie czasem trudno nawet wyjść w dresie, a co dopiero utyć lub się zestarzeć.

A widzi pani, jakie to były prorocze słowa. Zestarzałam się i proszę. Te dziesięć lat temu, gdy zaczynaliśmy „Nasz nowy dom”, wyglądałam inaczej. Myśmy się w polskiej telewizji zachłysnęli młodością, długimi nogami, poprawianiem urody. To jest bez sensu, bo wiek i doświadczenie są w cenie. Kilka osób po moim zwolnieniu napisało: „Czas jej na emeryturę”. A ja uważam, że pewnych rzeczy nie powinni robić ludzie bez doświadczenia. Trzeba mieć wrażliwość, coś w życiu przeżyć, doświadczyć kłeski i zwycięstwa. Trzeba wiedzieć, jakie warunki powinno mieć dziecko, żeby dobrze żyć. Pamiętam naszą panią architekt – robiła spoko projekty. Ale od momentu, gdy urodziła jej się córka, zaczęła projektować absolutnie wspaniałe pokoje dla dzieci. Bo już wie, czego potrzebuje mała dziewczynka. Nie chcę prowadzić show, programów dla młodzieży, nie pcham się do prowadzenia śniadaniówek. A przez ostatnie dziesięć lat robię coś dla innych. W programie, w którym sprawdzają się ludzie z doświadczeniem. A przecież każda moja zmarszczka jest kolejnym doświadczeniem.

Widzowie to doświadczenie i zmarszczki doceniają, jak wynika z badań.

Widzowie tak. Ale niektórzy dyrektorzy, jak się okazuje, mają z tym problem. Nauczyłam się w życiu, że najważniejsza jest pokora. Pokorą jest słuchanie widza. To on jest sędzią. Gdy nie ma widza – nie ma reklamodawcy, nie ma sponsora, nie ma programu.

Wokół „Naszego nowego domu” jest teraz spory szum.

On mu nie robi dobrze. I boję się, żeby nikt tego programu nie zepsuł. Bo misji się nie psuje. Nie wolno. Bardzo bym chciała, żeby nadal dawał lepsze życie.

Nie pierwszy raz telewizja rozstaje się z panią ze względu na wiek.

W Telewizji Polskiej było podobnie. Tyle że tam mnie nikt nie obraził, mówiąc, że fizycznie i psychicznie nie podołam. No i nie dali mi kwiatów. Człowiek, który mnie zwalniał, powiedział po prostu, że mam iść po obiegówkę i że to ze względu na wiek się ze mną rozstaje. Znamienne, że jakieś trzy lata później został usunięty z telewizji z tego samego powodu. A ja miałam wtedy 54 lata.

I proszę, wciąż ktoś chciał panią oglądać.

Prawda? Mówili, że nie przyciągnę widza. A byłam dziesięć lat na głównej antenie i robiłam rekordy oglądalności. Pomagałam w robieniu dobrych rzeczy. To najlepsza zemsta – pokazałam, że przyciągnęłam. Mam nadzieję, że za dziesięć lat się spotkamy i będę pani opowiadała, co superfajnego udało mi się przez ten czas zrobić.

Proszę obiecać.

Jesteśmy umówione. ♦

OLA. OLGA. KORA.

Jedyna taka biografia



PREMIERA 31 MAJA



Zeskanuj kod QR
i zamów książkę
na empik.com

Spotkanie, które *uzdrawia*

Otworzyłam okno i pokazuję czytelnikom, jak wygląda rzeczywistość w Izraelu. To było możliwe dzięki Rachel

Z ZERUYĄ SHALEV
ROZMAWIA JOANNA MOSIEJ-SITEK

Pamiętam nasze ostatnie spotkanie w Hajfie sześć lat temu. Opowiedziałas mi, o czym będzie twoja kolejna książka, którą właśnie wtedy zaczęłaś pisać. „Los” to historia spotkania dwóch kobiet. Młodsza, Atara, po śmierci swojego ojca postanawia odnaleźć jego pierwszą żonę Rachel. Ma nadzieję, że to pomoże jej lepiej poznać ojca, z którym miała bardzo trudną relację. To spotkanie odmienia życie obu kobiet. Czemu tak długo musieliśmy czekać na tę historię?

Sama siebie o to pytałam, ale po pierwsze, jestem bardzo powolna, po drugie, sześć lat temu przeprowadzałam się do Hajfy i dużo czasu zajęło mi przyzwyczajenie się do nowego miejsca. Bo ja wolno się przyzwyczajam. Wszystko robię wolno. Długo bałam się, że w nowym miejscu nie będę umiała pisać. Myślałam: może umiem pisać tylko w Jerozolimie, a w Hajfie już nie? Poza tym musiałam się zmierzyć z zaskakującymi dla mnie przeszkodami. Kiedy historia Rachel przyszła do mnie, bardzo długo nie mogłam jej zaakceptować. Nie planowałam jej w takim kształcie, zresztą nigdy nie planuję swoich bohaterów, oni sami się pojawiają. Nie byłam jednak pewna, czy dam sobie z nią radę. Na początku nie polubiłam jej i właściwie broniłam się, żeby o niej pisać. Zaczynałam i kasowałam wiele razy.

Dlaczego? Ja od razu pokochałam Rachel.

Na początku się jej bałam. Jest tak inna ode mnie, trudno było mi się z nią utożsamiać. Dla mnie moja rodzina, relacje z bliskimi i moja twórczość zawsze były najważniejsze. To był cały mój świat, nie potrzebowałam innego. Nie mam duszy aktywistki. A Rachel całe swoje życie podporządkowała walce o niepodległość Izraela. Wydawała mi się zbyt ideologiczna, fanatyczna w młodości, a w późniejszych latach zgorzkniała. Utknęła w przeszłości. W młodości należa-

ła do podziemnej ultrapravicowej organizacji Lechi, która w latach 1940-48 walczyła o niepodległość Izraela. Byli znienawidzeni przez wszystkie pozostałe organizacje, bo w odróżnieniu od nich walczyli z Brytyjczykami, a nie z Arabami. Wszystko temu poświęciła. Ważniejsza dla niej była walka, przyszłość kraju niż jej rodzina. To wydawało mi się trudne. I to, jakie konsekwencje miało to dla jej rodziny.

Jej starszy syn Jachir, lewicowy liberal, ma do niej nieustanne pretensje, że zatruła ich swoim patosem wobec Izraela. I że ten kraj był dla niej ważniejszy niż synowie i mąż. To musiało być dla niej bardzo bolesne.

Czuła się niezrozumiana. Dla niej życie prywatne i życie jej kraju to jedno. To tragedia jej pokolenia. Przez długi czas nie wspo-

latach działania w organizacji podziemnej, a część z nich brała udział w różnych niebezpiecznych akcjach, bo takie też miała na swoim koncie ta organizacja, miało nieświadomione traumy. Nieustannie klócili się o tożsamość Izraela, o to, o jaki kraj walczyli, a jaki się stał. Nie cierpiałam tej ideologicznej atmosfery w domu. Ojciec opowiadał nam mnóstwo historii o ich działalności i początkach państwa Izrael, ale oczywiście jako dziecko w ogóle się tym nie interesowałam. Raczej mnie to irytowało, bo te historie zawsze były smutne i tragiczne. Wszyscy przewracaliśmy oczami, jak zaczynał znowu opowiadać, i nikt nie chciał ich słuchać. Aż wszystkie przyszły do mnie razem z historią Rachel.

Za sprawą jej historii to twoja pierwsza tak politycznie zaangażowana książka.

Otworzyłam okno i pokazuję czytelnikom, jak wygląda rzeczywistość w Izraelu. To stało się dzięki Rachel. Jej emocjonalny świat, sposób myślenia utkane są z politycznych spraw. Dla niej to, co państwowe, jest prywatne i odwrotnie. To ułatwiło mi wprowadzenie

Cieszę się, że w trakcie ostatnich protestów wielu mieszkańców Izraela zjednoczyło się jak nigdy dotąd. *To daje mi nadzieję*

minano o nich, byli wykluczeni, nie mogli znaleźć pracy. Zapłacili wysoką cenę za tę walkę. A ja, pisząc o niej, zdałam sobie sprawę, że znałam bardzo dużo osób pokroju Rachel w młodości. Mój ojciec należał do tej organizacji i w naszym domu bywało wiele osób podobnych do Rachel i Manu, ojca Atary. Wszyscy oni wydawali mi się wtedy bardzo dziwni, smutni, chyba nawet trochę byli wśród nich wybitne jednostki, wielcy intelektualści, taki też był mój ojciec. Był krytykiem literackim, wykładowcą akademickim, przyjacielem Amosa Oza. I bardzo trudnym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Z drugiej strony myślę, że wielu z nich po

polityki do życia moich bohaterów na większą skalę niż dotychczas. Ale to nie jest tak, że wcześniej była zupełnie nieobecna. Miejsce urodzenia determinuje wiele naszych życiowych wyborów, chociaż nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. A traumy naszych przodków często przenikają nasze życie.

To prawda, jednak Izrael ze swoją trudną historią i wieloma wewnętrznymi podziałami jest pod tym względem wyjątkowy. Manu mówi: „Ten kraj jest przeklęty. Tutaj nigdy nie będzie pokoju”, a jeden z przyjaciół Atary w trakcie jej przyjęcia urodzinowego dodaje: „Dla nas wojna nigdy nie toczy się gdzieś na zewnątrz, ona



ZERUYA SHALEV

(ur. 1959) jest obecnie najczęściej tłumaczoną współczesną pisarką izraelską. Autorka takich książek, jak „Życie miłosne”, „Mąż i żona”, „Ból”, „Co nam zostało”

jest częścią naszego życia". To jest ten tytułowy „los” Izraela i jego mieszkańców?

Obawiam się, że tak. Chociaż nigdy nie należy tracić nadziei na pokój. Może kolejni liderzy będą się mogli porozumieć. Ale po tylu latach to wszystko staje się bardzo skomplikowane. Izrael jest bardzo podzielony: lewica, prawica, ortodoksyjni, świeccy. Żydzi, Arabowie. Żydzi aszkenazyjscy i sefardyjscy. I wiele partii politycznych i ich liderów, którym zależy, żeby nas jeszcze bardziej dzielić. Tym bardziej się cieszę, że podczas ostatnich protestów wielu mieszkańców Izraela poczuło się zjednoczonych jak nigdy dotąd. To daje mi nadzieję.

Wszystkie te podziały odbijają się w rodzinie Racheli. Ona sama ma żal o to, jak dzisiaj żyją jej synowie i jakim państwem stał się Izrael. Wypomina im, że walczyła o lepsze życie dla swoich dzieci i wnuków, a nie żeby żyli jak w XVIII-wiecznym sztetlu w Polsce. To przytyk do jej młodszego syna Amichaja, który się nawrócił i został chasydem. Dla Racheli, która walczyła o świecki Izrael, taki syn to rodzaj porażki.

To prawda, bojownicy z jej pokolenia poświęcali życie, żeby budować nowy, świecki Izrael. A teraz się okazuje, że w drugim, trzecim pokoleniu młodzi ludzie wychowani w świeckich rodzinach nawracają się na ortodoksję. Młodzi dzisiaj czują się zagubieni i odpowiedzi szukają w religii. To właśnie religia daje im poczucie bezpieczeństwa i sensu w tym pełnym nieprzewidywalności świecie.

Jak oni mogą ze sobą koegzystować w tolerancji i poszanowaniu? Bo patrząc przez pryzmat skłóconej rodziny Rachel, wydaje się to bardzo trudne. Jako świecka osoba nie może widywać dzieci swojego ortodoksyjnego syna, swoich wnuków. Rabin tego zabrania. To okrucieństwo. A starszy syn nie odwiedza swojej dziewięćdziesięciokilkuletniej matki, bo mieszka na terenach okupowanych. A to kłóci się z jego poglądami lewicowego liberała.

Podobno teraz rabini stają się już bardziej elastyczni i pozwalają widywać wnuki. A co do koegzystencji, to ona jest możliwa, na przykład w Hajfie, gdzie teraz mieszkam, mieście innym niż Jeruzolima, w której spędziłam ostatnie 40 lat. Hajfa jest miastem świeckim, w którym i Żydzi, i Arabowie koegzystują ze sobą na równych prawach. To wygląda jak idealny Izrael, ale niestety, nie



Jesteśmy karmieni wyobrażeniami miłości jako idealnej relacji między dwojgiem ludzi. *A rzeczywistość*

najczęściej wygląda inaczej

rozprzestrzenia się dalej. Jesteśmy bardzo małym krajem, ale bardzo zróżnicowanym.

Równie ważna w książce jest Atara. Ona i jej drugi mąż Aleks nieustannie się kłóca. Chociaż bardzo się starają, nie potrafią zbudować szczęśliwej relacji. Miłość, która ich połączyła, trwonią na kłótnie o blache, codzienne sprawy. Ich relacja pełna jest wzajemnych pretensji, właściwie bardziej się odpychają, niż przyciągają. Dlaczego w twojej książce nie ma ani jednej szczęśliwej pary?

O to można zapytać w kontekście prawie każdego związku. Zawsze zaczyna się od wielkiej miłości, a później tej miłości trudno przetrwać, jest bardzo krucha. Ale myślę, że miłość Atary i Aleksa jeszcze się nie skończyła. Po prostu obydwójce są silnymi osobowościami, nieustannie chcą postawić na swoim. Rodzina patchworkowa to niełatwy twór, coś o tym wiem. Myślę, że pod koniec książki Atara to rozumiała. Dla mnie to jeden z ważniejszych momentów w książce, kiedy Atara zaczyna rozumieć, dlaczego wybrała Aleksa. Konflikt, w którym żyją, pełen pretensji i wzajemnych oskarżeń, przypomina jej relację z ojcem, która zdeterminowała jej przyszłe wybory. Nieustannie fascynuje mnie ta zależność, że jesteśmy karmieni wyobrażeniami miłości jako idealnej relacji mię-

dzy dwojgiem ludzi. A rzeczywistość najczęściej wygląda inaczej.

Dlatego spotkanie, od którego zaczyna się powieść, jest dla nich obu tak ważne. Obie mogą lepiej zrozumieć Manu, ojca Atary, i pierwszego męża Rachel. To spotkanie zmienia ich przyszłość. Tak, to spotkanie uzdrowia w jakiś sposób je obie, budzi do życia. Chociaż na początku w przypadku Atary może się to nie wydawać oczywiste. Rachel poczuła, że żyła tak długo, żeby spotkać Atarę i opowiedzieć jej swoją historię. Mają sobie dużo do zaferowania. Atara początkowo pełna jest rozterek, czy dobrze zrobiła, odnajdując Rachel. Trochę czasu zajmuje jej zaakceptowanie tego, co przynosi los, bez zadawania nieustannych pytań. Jedne szanse się zamykają, a inne otwierają. Niby oczywiste, ale gdy jesteśmy pełni bólu i pretensji do losu, trudno nam to zobaczyć.

W „Losie” wiele jest chasydzkich przypowieści Nachmana z Bracławia, które Amichaj bardzo lubi opowiadać matce. Rachel irytują te historie. Uważa, że wszystkie są takie same, że ciągle oczekuje

się w nich, iż bohater nie popełni decydującego błędu i to uchroni go przed cierpieniem. Amichaj tłumaczy jej, że ich celem jest obudzenie słuchających do życia. Zwraca jej uwagę, że za bardzo koncentruje się na tym, co się dzieje z bohaterami tych historii. A rabin im mówi, że dużo ważniejsze jest to, jak one wpływają na słuchających. Jak ty byś chciała, żeby twoja książka wpłynęła na tych, którzy ją czytają?

Czego mogą oczekiwać? Może to zbyt wiele, za ambitnie, ale ja chyba zawsze oczekuję tego samego. Liczę na to, że czytelnicy odnajdą siebie, kawałek swojego życia, jakiś rodzaj zadowolenia nawet w tych smutnych częściach. Zadowolenie, że nie jesteśmy sami, że inni mierzą się z podobnymi problemami. To dla mnie rodzaj nagrody, gdy czytelnicy mówią mi, że moja książka była dla nich jak przyjaciel, jak doradca, jak lustro, w którym mogą się przejrzeć. ♦



ZERUYA SHALEV
„Los”, tłum. Magdalena
Sommer, wyd. W.A.B.

Piątek 16.06



16.30

Rubens



17.45

Baranowski



19.00

Mrozu



22.00

Margaret



23.30

Bedoes 2115



19.10

BOKKA



22.00

Nosowska



23.30

Sokół feat. Pono



20.30



Paulina Przybysz



Margaret



Monika Borzym



20.30



Paulina Przybysz



Nosowska



Natalia Nykiel



Julia Wieniawa



Zalia

WARSZAWA
OŚRODEK WAWELSKA 5
DAWNA SKRA



Ofelia



Marika

Sobota 17.06



16.30

Matylda/Lukasiewicz



17.45

Tymek



54750830

Byle do domu

Przyjechały tu „na chwilę”. Z niczym. Miały domy, ale spadła rakietą i domu nie ma. Myślały: wrócę z dziećmi za parę tygodni. Dziś już nie ma do czego wracać

TEKST DOMINIKA WANTUCH
ZDJĘCIA JAKUB WŁODEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL

Tu kiedyś było przedszkole. Wewnątrz ceglanego budynku widać jeszcze ślady: rzędem wisi pięć umywalek. Niziutkio, aby maluchy mogły dosięgnąć kranu. Stoi kilka toalet. Też niższych, dostosowanych dla dzieci. Niewielki prysznic. W kilku salach stare piece kaflowe. Nikt już nie dosypuje do nich węgla, mają wkłady elektryczne. Obok w korytarzu zamykane szafki. Gdzieś tam jeszcze mały stolik z krzeselkami, jakieś obrazki na ścianach, dwa większe stoły. Prowizoryczna kuchnia. Niewielka lodówka i kuchenka z dwoma palnikami przywieziona niedawno. Wcześniej w tym budynku nigdy się nie gotowało. Dzieciom dowożono jedzenie z zewnątrz. Potem przeniosły się w ładniejsze miejsce, a ceglany budynek w Krakowie niszczał.

Dziś mieszkają w nim 44 Ukrainki z dziećmi. Najmłodsze dzieci jeszcze nie mówią, potrzebują popołudniowych drzemek, ciągle tułają się do mam. Najstarsze tęsknią za szkołą, przyjaciółmi, pierwszą miłością.

Wszystkie kobiety, które dziś mieszkają przy ul. Duchackiej 3 w Krakowie, przyjechały tu z Ukrainy „na chwilę”. Z niczym. Miały domy, ale spadła rakietą i domu nie ma. Albo mąż kazał się szybko pakować i uciekać. Obiecywał: „Wrócisz z dziećmi za parę tygodni”. Ale dziś już nie ma do czego wracać. Przyjechały na chwilę, wiele jest tu od miesięcy. Stare przedszkole bez prawdziwej kuchni, porządnej łazienki, bez odrobiny prywatności i intymności, z piętrowymi łózkami w salach, z kartonem założonym na szybę w drzwiach, aby nikt z korytarza nie zaglądał do sali, powoli staje się ich „domem”.

DWA PALNIKI

Był 24 lutego 2022 r., gdy do Krzysztofa Chawrony przyszli jego ukraińscy pracownicy. Chawrona ma firmę budowlaną, a od 2018 r. prowadzi fundację Nidaros, która zajmuje się pomocą Ukraińcom przyjeżdżającym do Polski. Znajduje im mieszkania, pracę, pomaga tłumaczyć dokumenty lub za-

łatwić formalności związane z pobytem. „Ratuj nasze rodziny, ściągnij do Polski naszych bliskich” – prosili. Kilka godzin wcześniej Rosja zaatakowała Ukrainę, zaczęła się wojna.

Najpierw Krzysztof Chawrona ściągnął Tanię i jej trzyletnią córkę, żonę jednego z pracowników. Potem rodzinę drugiego pracownika, trzeciego... Czwartego dnia wojny sam był już na granicy polsko-ukraińskiej.

– Wsiadłem w samochód, miałem odebrać rodziny swoich pracowników. Na granicy zobaczyłem 20-kilometrową kolejkę. Była zima, mróz, dzieci się trzęsły, matki były przerażone. Zawróciłem do Przemysła, kupiłem batony, soczki, jakieś bułki, wodę i wróciłem do tej kolejki – opowiada.

Siedzimy przy stole w holu dawnego przedszkola, które dziś jest domem dla kobiet z Ukrainy. Obok leżą kule inwalidzkie, kilka złożonych wózków dla osób z niepełnosprawnościami. Za kilka dni trafią do Ukrainy do rannych żołnierzy. Na podłodze pudła z lekami, obok kasze i mąki, opakowania z pampersami, na stole ustawione pudła z kuchenkami mikrofalowymi. Przy drzwiach zafoliowana lodówka.

Co chwilę podchodzą mężczyźni i pakują rzeczy do samochodu. To ukraińscy pracownicy zatrudnieni w firmie budowlanej Krzysztofa. Przed pracą pakują jedzenie, sprzęty i wszystko to, co trafi do Ukrainy. Między nami biega trzyletnia córka Tatiany. Co chwilę ktoś dzwoni, ktoś przychodzi, wychodzi. Zgiełk i hałas jak na dworcu. W prowizorycznej kuchni z dwoma palnikami ustawia się powoli kolejka. Jest rano, każdy chce zrobić sobie herbatę, kawę, śniadanie. Tatiana pyta, czy napijemy się herbaty. Znika na moment, czeka na swoją kolej. Krzysztof nad ramię wrócił z Ukrainy, odbiera telefon, ustala plan działania na następne dni, bo za chwilę znowu tam jedzie.

– Więc wtedy, tego 28 lutego – Krzysztof siada z powrotem przy stole, wyciąga telefon, pokazuje zdjęcia – wróciłem na granicę i po prostu zacząłem pytać, kto chce jechać. A ludzie podchodzili i mówili, że byle do miasta, byle nie musieli dalej marznąć. Nie miało znaczenia, dokąd ich zawiozę – wspomina. W samochodzie na pace zmieściło się ok. 40 kobiet z dziećmi. Do Krakowa jechały na

stojąco, w milczeniu. – Zatrzymałem się na stacji benzynowej, kupiłem 40 hot dogów, zacząłem na Facebooku rozsyłać informacje, jakich rzeczy potrzebują dla tych ludzi, bo niektórzy nie mieli nic. Jedną reklamówkę i dziecko na rękach. Zadzwoeniłem do Bartłomeja Kocurka, dyrektora Centrum Młodzieży w Krakowie, żeby mi udostępnił jedną salę na dary dla Ukraińców.

Zgodził się na weekend, bo od poniedziałku zaczynały się tam zajęcia dla młodzieży. Tyle że w poniedziałek okazało się, że jedzeniem, ubraniami, środkami czystości, które znosili mieszkańcy Krakowa, zapełnione są wszystkie sale. – To był czas wielkiego zrywu Polaków. Wszyscy pomagali. Chcieli przyjmować Ukraińców w domach, przynosili dary. To trwało do wakacji. Potem się skończyło – wzdycha Krzysztof.

I znów wraca do pierwszych dni wojny w Ukrainie. – Gdy okazało się, że darów jest tak dużo, zadzwoniłem do byłej radnej Krakowa Katarzyny Pabian. Ona uruchomiła kolejne osoby, udało się znaleźć lokal przy ul. Kalwaryjskiej 69 w Krakowie. Tam zorganizowaliśmy punkt pomocy. Idea była taka, żeby kobiety, które przywozimy z Ukrainy, mogły tu dostać najpotrzebniejsze rzeczy, zjeść coś, napić się herbaty i ruszyć dalej.

NA CHWILĘ

Tylko dokąd?

Kobiety, które uciekły przed wojną, przyjeżdżały na Kalwaryjską, siadały na podłodze i czekały. Na co? Na koniec wojny, na to, że za chwilę ktoś im powie, że mogą wracać do Ukrainy. Ale nikt nie dzwonił. Krzysztof i jego współpracownicy zaczęli więc zwozić materace, żeby kobiety i dzieci nie siedziały na podłodze. Godziny spędzone w magazynie na Kalwaryjskiej zmieniały się w dni, dni w tygodnie... Przez punkt pomocy w ciągu kilku tygodni przewinęło się kilka tysięcy osób. Przy dwóch tysiącach Krzysztof i jego współpracownicy przestali liczyć.

– Był moment, gdy mieliśmy tam w jednym czasie 140 osób. Na powierzchni 300 metrów, z jedną łazienką. To było bardzo trudne – wtrąca Paulina Pietrucha. Krzysztof współpracuje z nią od lat. I to właśnie do Pauliny zadzwonił,



Kwiecień 2023 r.,
Kraków, ul. Duchacka.
Siedziba fundacji
Nidaros prowadzonej
przez Krzysztofa
Chawronę i Paulinę
Pietruchę, gdzie
schronienie znalazło
kilkadziesiąt uchodźczyń
z Ukrainy



Karina, Julia i Walentyna
bawią się w kuchni



Tania z córką



Krzysztof Chawrona



Ludmiła z córką

że potrzebuje pomocy, gdy do Krakowa zwoził coraz więcej kobiet z dziećmi. Bo z tymi kobietami trzeba rozmawiać, rozładowywać konflikty, transportować je gdzieś dalej, szukać im miejsca do zamieszkania, pracy.

Paulina: - Pamiętam. Przyjechałam na Kalwaryjską 69, a tam jedna pani leży przy drugiej, wokół ciuchy, torby, jedzenie, kolejka do toalety, do prysznicy, hałas. Trzeba było to jakoś ucywilizować, zaczęliśmy segregować rzeczy, stawiać ścianki działowe, żeby ludzie nie leżeli „w hali”. W pierwszych tygodniach nie rozmawialiśmy z tymi kobietami o tym, że trzeba szukać domu, pracy, że trzeba ruszyć dalej, bo tu nie ma warunków. Zresztą wiele kobiet nie chciało nigdzie wyjeżdżać. One były przekonane, że za chwilę wrócą do Ukrainy, więc nie będą jechać dalej, bo tu są blisko granicy, blisko domu.

I tak punkt pomocy zaczął być tymczasowym domem dla dziesiątek kobiet i ich dzieci. Trafiały tu rozmaite kobiety. Była Julia, która jest strongmenką, żeńskim ukraińskim odpowiednikiem Mariusza Pudzińskiego. Do punktu pomocy trafiła z mamą i babcią, bo nikt nie chciał jej przyjąć pod swój dach. „Może ze strachu” - zastanawiała się Julia.

Była 80-letnia Natalia, pochodząca z arystokratycznej rodziny profesorka. Mówiła biegle po angielsku, uwielbiała balet. Przed wojną mieszkała w Charkowie, miała kilka mieszkań w Rosji, gdzie zresztą mieszka jej rodzina. Gdy Rosja zaatakowała Ukrainę, nikt z rodziny nie pomógł Natalii. Przyjechała w ładnych, dobrej jakości ubraniach. Oprócz nich miała na zmianę drugi komplet. Ciągłe na zmianę prała raz jeden, raz drugi. Nie chciała ubrań z darów. Brzydziła się. - Na początku była wyniosła, zdystansowana, nawet trochę pogardliwie odnosiła się do reszty. Wciąż

mówiła po rosyjsku. Gdy podawaliśmy jedzenie, które trafiało do nas z darów, ona prosiła o lepszej jakości produkty. To rodziło konflikty, naturalną niechęć: skoro ty tak do nas, to my też nie będziemy dla ciebie mili. Wiele czasu nam zajęło, żeby nam zaufała, żeby się odnalazła, żeby uwierzyła, że nikt tu nie chce jej zrobić na złość - opowiada Paulina.

Moment przełomowy? Gdy Natalii zepsuł się telefon. Nie mogła oglądać baletu w internecie i kontaktować się z przyjaciółką z Charkowa, która zaopiekowała się jej kotem. Przyszła wtedy do Pauliny i poprosiła

To był czas wielkiego zrywu
Polaków. Wszyscy pomagali, chcieli
przyjmować Ukraińców w domach,
przynosili dary. *To trwało
do wakacji. Potem się skończyło*

o książkę w języku angielskim. Paulina przyniosła i książki, i nowy telefon. A Natalia pozwoliła przestawiać mówić po rosyjsku, przeszła na angielski, z angielskiego na ukraiński. W międzyczasie Paulina wiele razy rozmawiała z innymi mieszkankami: że trzeba wyrozumiałości, że nikt tak naprawdę nie zna historii Natalii, że ona jest kompletnie sama, dajmy jej szansę.

Do Ukrainek docierały kolejne informacje o ostrzałach, raketach, gwałtach, przemocy. Z domów wielu z nich zostały zgłiszczą. Uchodźczynie, które przyjechały na chwilę, zaczynały rozumieć, że ten konflikt to nie

jest chwila, miesiąc, dwa miesiące i wrócą do swoich domów. Zaczęły szukać miejsc, w których mogą zostać na stałe. Natalia wyjechała do Koninek. Niedawno napisała do Pauliny, że żyje i jakoś się ma. „Charków jest dwa razy większy niż Kraków, tak?” - zapytała w SMS-ie. „I popatrz, Paulina, nie ma do czego wrócić” - dodała.

Przy Kalwaryjskiej pojawiła się też rodzina muzułmańska z Ukrainy. Krzysztof pewnego dnia pojechał na dworzec, gdzie uchodźcom pomagał jego brat. Od trzech dni koczowała tam rodzina muzułmanów. - Ludzie dawali wtedy mnóstwo ogłoszeń, że przyjmują pod swój dach Ukraińców, ale jak widzieli muzułmanów, to rezygnowali - wspomina Krzysztof.

Zawiózł ich do punktu pomocy. Okazało się, że mają rodzinę we Francji. Krzysztof za własne pieniądze kupił im bilety. Polecili. We Francji udzielili wywiadu telewizyjny Al-Dżazira i opowiedzieli o ludziach,

którzy pomogli im w Polsce, gdy pomoc nikt nie chciał. Do Krzysztofa zaczęły się odzywać zagraniczne organizacje i fundacje z Anglii, Austrii, Niemiec, Holandii, Francji, Czech, Słowacji chętne przyjąć uchodźców. Materace przy Kalwaryjskiej powoli zaczęły się zwalniać. - Na szczęście - mówi Paulina. Bo w międzyczasie lokal przy ul. Kalwaryjskiej 69 przejął inny dzierżawca, Krzysztof dostał wypowiedzenie najmu. Było tam wtedy około 30 kobiet z dziećmi. Trzeba było poszukać dla nich nowego domu do życia na chwilę. Pomogli znajomi i obcy ludzie. Właściciel budynku dawnego przedszkola



Paulina Pietrucha

Toalety w przedszkolu

oddaje za zwrot kosztów podatków. Krzysztof musi płacić tylko rachunki. Te są niemałe. Prąd kosztuje go prawie 15 tys. zł za miesiąc. Płaci ze swoich oszczędności.

WALIZKA

W budynku dawnego przedszkola przy ul. Duchackiej 3 mieszkają różne kobiety, z różnych części Ukrainy, mniej lub bardziej wykształcone, starsze, z nastoletnimi już dziećmi, i młode, z maluchami, które jeszcze nie mówią. Łączy je jedno – walizka. Stoi przy każdym łóżku w każdej sali. Jak w szpitalu – gdy człowiek do niego trafia, marzy, by wyjść jak najprędzej do domu. Walizki są nierozpakowane, uchodźczynie trzymają w nich wszystko, co mają. Bo dom przy Duchackiej jest tymczasowy, bo za chwilę wrócą do siebie, bo są tu tylko „w gościach”.

Każdy dzień tutaj zaczyna się podobnie. Dziewczyny najpierw sprawdzają telefony, czytają, co się dzieje w Ukrainie, próbują kontaktować się z mężami, którzy walczą na froncie, z bliskimi, którzy tam zostali. Potem szybka toaleta. Trzeba się dogadać, kto kiedy bierze prysznic, bo ciepła woda starcza dla kilku osób. Reszta myje się w chłodnej albo czeka. Trzeba się dogadać, kto kiedy je, bo w kuchni są tylko te dwa nieszczęsne palniki. Jeszcze kilka miesięcy temu nie dokuczalo to tak bardzo, bo organizacje charytatywne przywoziły ciepłe posiłki. Ale w czerwcu ubiegłego roku lawina pomocy się zatrzymała. Ludzie zmęczeni się pomaganiem, mieli dość, zaczęli wyjeżdżać na wakacje.

Szczęście mają dziewczyny, którym udaje się znaleźć dorywczą pracę. Najczęściej „w paznokciach”, przy myciu garów albo sprzątanu. Tak od czasu do czasu pracuje np. 34-letnia

Tatiana, która razem z 13-letnią córką zajmuje piętrowe łóżko w jednej z sal, w której Krzysztof wstawił ścianki działowe. Dalej nie ma prywatności, ale zamiast mieszkać w pokoju w dziesięć osób, mieszkają w pięć.

Tatiana jest inżynierem jakości, jej córka właśnie ma lekcje online. Łączy się ze szkołą w Ukrainie. Tatiana nie zapisała jej do polskiej szkoły, bo nie znają języka polskiego. – Bariera językowa od razu ustawia cię w określonej pozycji. Możesz mieć wykształcenie wyższe, ale jak nie znasz polskiego, to możesz sprzątać albo myć garnki – wzdycha Tatiana. I zaraz dodaje: – Ale wiesz, ja starałam się na to patrzeć tak: jestem tu, bo wybrałam życie. Wojna je zmieniła, ale żyję. I próbuję to przetrwać.

37-letnia Ludmiła przytakuje. Patrzy łagodnym wzrokiem i częstuje herbata. Ludmiła z dziećmi na Duchacką trafiła w sierpniu 2022 r. Z wykształcenia jest inżynierem bakteriologii, w Tarnopolu prowadziła swój biznes, mówi dobrze po angielsku, całkiem sprawnie dogaduje się po polsku. – Najtrudniej jest się z tym wszystkim pogodzić – mówi. – Choć o takie banalne sprawy. Jeszcze niedawno miałam swój dom, chodziłam do restauracji, dbałam o siebie, spotykałam się z przyjaciółmi, miałam dobre życie. A dziś mieszkam na piętrowym łóżku z osobami, których nie znam, nie myślę o tym, co zjem, ale czy zjem. Życie się przewartościowało. Ale powtarzam sobie, że mam szczęście, bo spotkałam ludzi, którzy mi pomagają. I że nie jestem sama, a być człowiekiem to znaczy nie być samemu – mówi.

DOM

Gdy nie ma pracy, dziewczyny pomagają w „domu”. Tatiana niedawno pomalowała łazienkę, Ludmiła pomaga przy pakowaniu

rzeczy do Ukrainy. Pomaga też w komunikacji, bo jako jedna z nielicznych zna angielski i trochę polski. Jak nie ma zajęcia, dziewczyny kombinują. Robią świece, sprzątają w domu, coś naprawiają. – Bo jak człowiek nie ma zajęcia, to wariuje. Czyta wiadomości, przeżywa, kreśli w głowie scenariusze – mówi Ludmiła. Albo wspomina. A wspomnienia są najtrudniejsze.

Nie wszyscy wytrzymują. Przy Duchackiej mieszkała do niedawna Nastia z rodziną. Babcia, dwie córki i sześćro dzieci. Najmłodsze miało osiem miesięcy. Najstarsza, Angelina, 17 lat. Utalentowana, słiczna dziewczyna. Chciała się uczyć, ale jej mama poszła do pracy, więc Angelina zajmowała się młodszym rodzeństwem. Dawali jej w kość. Biegali, krzyczeli, płakali, ciągle czegoś chcieli od starszej siostry. A Angelina tęskniła za przyjaciółmi, za szkołą, za życiem zwykłej nastolatki. Tu nie miała żadnych przyjaciół, była całkiem sama w pokoju, w którym oprócz niej mieszkały starsze kobiety. Zaczęła chudnąć, przestała się odzywać, wychodzić z pokoju.

Paulina z Krzysztofem zadzwonili do psycholożki Larisy. Jej numer telefonu wisi cały czas na tablicy w holu, obok kilka słów przetłumaczonych na język angielski: łóżka, suszarka, wieszaki, grzejnik, ciepłe ubrania, buty, bielizna, prysznic, kuchnia. Problem w tym, że z psychologiem Ukraińcy nie chcą rozmawiać. Problemy psychiczne to wciąż temat tabu.

Angelina zamykała się w sobie coraz bardziej, w końcu cała rodzina zdecydowała, że wracają do Ukrainy. Spakowali się pod koniec listopada. Żegnając się, Nastia mówiła do Pauliny: „Wolimy tam umrzeć, niż tu wegetować”. Od tego czasu Paulina co jakiś czas pisze do Nastii. Nie dostaje odpowiedzi. Nikt nie wie, czy rodzina przeżyła.

– Co ja mam powiedzieć? – Paulina ścisza głos. – Choćbyśmy nie wiem jak się starali, to to jest wegetacja. Młode dziewczyny nie pójdą do pracy, bo mają małe dzieci i nie mają ich z kim zostawić. Miejsc w przedszkolach brakuje, więc one nieraz siedzą całymi dniami z dziećmi w pokoju. Te, które nie mają dzieci albo mają starsze dzieci, staramy się aktywizować zawodowo, ale pracy też nie ma dla wszystkich. A jak nie ma pracy, nie ma perspektyw, nie ma pieniędzy, to przychodzi rezygnacja. I wtedy, po tych kilku miesiącach, po roku od rozpoczęcia wojny, już nie działa hasło, że tu jest bezpiecznie, że przynajmniej bomby nie latają nad głowami. Gdy wybuchła wojna, to większość rozmów sprowadzała się do tego, że „przynajmniej jest bezpiecznie”. Teraz są pytania „co dalej?” Ale tego nie wiemy ani my, ani Ukraińki. Pytamy więc: „Czego byście chcieli?”. A one wszystkie odpowiadają: „Wrócić do domu. Jakikolwiek by był. Byle wrócić”. ♦



Kupię ci jedno

Nie można trochę nie zdradzać żony i na podobnej zasadzie nie powinniśmy się zgadzać, żeby nasze nastoletnie dziecko trochę piło

TEKST ALEKSANDRA SZYŁŁO
RYSUNEK ANIA GOSZCZYŃSKA

m

Magdalena, urzędniczka państwowa, mama 16-letniego Kubę: - Syn zadzwonił o 22.30: „Mamo, za pół godziny będę”. On jest taki odpowiedzialny harcerz. Właściwie nie martwiłam się, wiedziałam, gdzie jest, zakładałam, że spotkanie się skończy i syn po prostu wróci. Bardziej odruchowo zapytałam: „Wszystko okej?”. I wtedy dopiero usłyszałam wahanie w jego głosie: „Przyjdę, to opowiem”.

Kuba wrócił mocno poruszony. Mimo późnej pory potrzebował opowiedzieć. Zaproszenie dostał od koleżanki z podstawówki, nazwijmy ją Kasią, to miało być spotkanie klasy po latach, teraz są w drugiej liceum. U niej w domu, niedaleko nas. Widywałam tę rodzinę przez lata. Z mamą Kasi zdarzało mi się rozmawiać pod szkołą, gdy dzieci były mniejsze. Wiedziałam, że to rodzina bardzo zamożna, ojciec prowadzi dobrze prosperującą firmę.

Oslupiałam, gdy syn zrelacjonował, że rodzice Kasi wystawili 15- i 16-latkom na powitanie na stole w salonie skrzynie wina. W ciągu kilku godzin młodzi zarzycali salon i ogród, smród był taki, że nie było gdzie się przed nim schować. Kuba mówi, że koleżanki i koledzy nie zdążyli do toalety, „bo leciało z nich wszystkimi kanałami”. Kilko dzieci „zaliczyło zgon”.

Wszystko to działo się na oczach rodziców Kasi. Zapytałam syna, jak oni na to reagowali. Powiedział, że coś mówili, ale pannał taki hałas, że nie było słycać. W sumie na imprezie było około 50 dzieciaków, dwie równoległe klasy. Gdy Kuba wycho-

dził wpół do jedenastej, niektórzy dopiero przychodzili.

Kuba mówi, że tylko on, jego przyjaciel z ławki i jeszcze jedna dziewczynka pozostały trzeźwi. Widziałam, że przeżywa to wydarzenie przez kolejne dni.

NIE MA BEZPIECZNEJ ILOŚCI

Robert Rutkowski, terapeuta uzależnień: - Opublikowane w 2018 r. w „Lancecie” wyniki trwających 26 lat badań jednoznacznie wykazały, że nie ma czegoś takiego jak „bezpieczna ilość alkoholu” - ani dla nastolatka, ani dla dorosłego. Wszyscy mamy mutacje genetyczne, które mogą być przez alkohol aktywowane. Inny badacz, Daniel G. Amen, psychiatra, specjalista badań obrazowych mózgu, wylicza bezpośrednie efekty spożywania alkoholu: zaburzenia empatii, gorsza koncentracja, brak przezorności, nieuczenie się na błędach, zła ocena sytuacji, zmniejszenie autorefleksji. Przecież nastolatek z wieloma tymi rzeczami ma problem z natury - czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach jest gotów udostępnić mu substancję, która to pogorszy?

Wszyscy wychowywaliśmy się w przekonaniu, że alkohol szkodzi dopiero wtedy, gdy ktoś się od niego uzależnia. Mamy głęboko wpojone przekonanie, że „czasami”, „okazjonalnie”, „w niewielkich ilościach” - takie picie jest całkiem w porządku. Tymczasem w obliczu obecnej wiedzy naukowej nie możemy już tak twierdzić. Dodatkowo spożywanie „niewielkich ilości” alkoholu przez dorosłego i nastolatka różni się zasadniczo. Dziś wiemy, że mózg osiąga dojrzałość dopiero między 26. a 30. rokiem życia. Jeśli pije osoba w wieku średnim, a potem przestanie pić, to jej mózg przez kolejne miesiące i lata ma szansę się zregenerować. Mózg pijącego nastolatka nigdy się nie zregeneruje, ponieważ doświadczył intoksykacji, zanim się ukształtował. Taka osoba spada o szczebelki na drabinie, jeśli

chodzi o jej potencjał, i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Nie zamierzam rzucać w nikogo kamieniem, sam popełniałem w życiu poważne błędy i ledwo wyszedłem z nich żywy. Jednak moje własne doświadczenie i doświadczenia moich pacjentów z gabinetu nauczyły mnie, że w pewnych kwestiach warto być zero-jedynkowym. Nie można trochę nie zdradzać żony i na podobnej zasadzie nie powinniśmy się zgadzać, żeby nasze nastoletnie dziecko trochę piło. Nie relatywizujemy tego. Jeśli matka daje 16-latkowi wypić jedno piwo, to da mu też raz spróbować kokainy? Proszę mi wierzyć, że często słyszę w gabinecie: „Dlaczego mi pozwalali?”. Młódzieź oczekuje od nas konkretno, nie relatywizmu. Jeśli chodzi o osoby nieletnie, sprawa jest prosta: umożliwianie im picia jest przestępstwem. Czy to oznacza, że mamy się zgodzić, by nasze dziecko upiło się w 18. urodziny? Uważam, że śmiało można powiedzieć: „Nie. U mnie w domu to nie przejdzie. Jeśli jesteś dorosły, proszę bardzo, płac własne rachunki, idź w świat na własnych warunkach. Tutaj ja tworzę ramy”.

Czy to oznacza, że zabraniając alkoholu nastolatki, rodzic sam ma nie pić? Ja świadomie zrezygnowałam z alkoholu dziesięć lat temu, chociaż on nigdy mnie nie uwiódł, nigdy nie byłem od alkoholu uzależniony, nawet za bardzo go nie lubiłem. Oczywiście każdy dorosły podejmuje własne decyzje. Rozumiem, że rodzice boją się osądzenia o hipokryzję: ja wypiję wino do kolacji, a młodemu człowiekowi zabronię? Kluczowe dla dziecka jest nawet nie to, czy rodzic pije, tylko co o tym mówi. Lepiej powiedzieć: „Jestem słaby, nie radzę sobie z emocjami”. Lepiej niż ubierać swoje picie w zakłamujące formy, na przykład „dla zdrowotności” albo „będziesz dorosły, będziesz pił” (bo to nic nie tłumaczy). Prawda jest taka, że alkohol pełni konkretną funkcję - pozwala nam się zrelaksować, gdy nie potrafimy zrelaksować się inaczej. Lub jesteśmy zbyt leniwi, żeby

zrobić to inaczej. Pobiegać, poćwiczyć, przemyśleć lub przegadać temat, który nas męczy. Po ciężkim dniu zamiast wieczorem otwierać wino i udawać, że jest super, lepiej powiedzieć dziecku wprost: „Tata miał dziś zły dzień. Wybacz, nie mam siły. Jestem trochę smutny”. Wtedy młody człowiek się uczy, że on też ma prawo bywać smutny i to nie jest koniec świata.

Często pada też argument: jeśli nie pozwolę swojemu nastolatkowi w ogóle pić, będzie wykluczony z towarzystwa. To prawda, że nastolatek jest skłonny zrobić wiele dla akceptacji, bo strasznie jej potrzebuje. Ale tu znów nasza rola – jak nauczymy go sobie z tym radzić. Mój pacjent, dorosły mężczyzna, powiedział niedawno: „Dla akceptacji pozwoliłbym wyciąć sobie nerkę”. Czy to jest ta droga? Najważniejsze, co możemy w tej kwestii dla dziecka zrobić, to pokazać mu, że rodzic nie boi się braku akceptacji. Jest sobą i otacza się ludźmi, którzy to szanują.

USŁYSZEĆ: „BĄDŹ OSTROŻNA, BO SIĘ MARTWIĘ”

Jagoda, 15 lat: – Moim zdaniem są trzy typy rodziców, mówię to z obserwacji znajomych. Pierwszy typ – bardzo chcieliby zostać kumplem swojego dziecka, żeby dziecko wszystko im mówiło, wszystkie swoje sekrety. A jeżeli już miałyby spróbować alkoholu, to z nimi. Nie da się zostać kumplem swojego dziecka, więc z czasem ci rodzice się orientują i z tego żalu dają zakazy: zabiorę ci kieszonkowe, telefon, nie wyjdiesz z domu przez miesiąc.

Drugi typ – mają wywalone. Tak często jest u moich znajomych, które na przykład bywały w szpitalach psychiatrycznych albo rodzice mieli z nimi inne hardcorowe problemy, np. uciekały z domu. Taki rodzic często ma postawę: no dobrze, kupię ci papierosy, dam ci wódkę na imprezę, tylko żeby już nie było „tych strasznych rzeczy”. Czy uważam, że to jest w porządku? No nie, żadne dziecko chyba nie chce być totalnie olane. Chociaż znajomi, którzy mają takich rodziców, często lubią się tym chwalić: „Jezu, poprosiłam tatę, żeby mi kupił papierosy, a on zamiast mi kupić, dał mi swoje i teraz mam te okropne, cienkie”. Chwalą się na pokaz. Ale zdziwiłaby się pani, jak wyglądają ci rodzice. Chodzi o to, że często mają świetne domy, pracę.

Trzeci typ – myślą: nie będę się przecież ze swoim dzieckiem kumplować. I dają same zakazy. Mój kolega z klasy raz wrócił do



Są trzy typy rodziców.

Pierwszy – bardzo chcieliby zostać

kumplem swojego dziecka.

Drugi typ – mają wywalone.

Trzeci – dają same zakazy

domu pijany i wypadł mu e-papieros. Rodzice zabrali mu oszczędności, telefon. W zamian dali mu jakiś stary, bez żadnych aplikacji. On i tak pali. Skąd ma pieniądze? Kiedyś komuś pożyczył, to ten ktoś teraz mu oddał. A poza tym dzwoni do mamy i mówi: „Proszę, wiem, że zabraliście mi pieniądze, ale przelej mi 20 zł na materiały plastyczne do szkoły”. Jego mama już drugi miesiąc mu przelewa na te materiały plastyczne. A u nas w szkole materiały plastyczne kupuje szkoła, bo to jest liceum prywatne. Mama tego kolegi naprawdę jest niezła!

Jak rodzic w takim razie moim zdaniem powinien się zachować? Idealnych sposobów chyba nie ma! Ale dobrze by było, jakby powiedział: „Też przechodziłem przez ten etap. Było tak i tak. Bądź ostrożny, bo się o ciebie martwię”.

Czy ja kiedyś wypilałam? Jak wychodził z znajomymi do parku, zwykle ktoś coś ma. Zazwyczaj wtedy próbuję, to znaczy biorę łyk albo maksymalnie trzy. Takie małe łyki, nie oszukuję. Zapytałam ostatnio mamę, co by zrobiła, jakbym wróciła do domu pijana. Powiedziała, że zadzwoniłaby na policję. Nie wiem, czy naprawdę by zadzwoniła. Potem rozmawialiśmy jeszcze o tym, co by z tego wynikło, i obiecałyśmy sobie jeszcze wrócić do tematu. Na razie nie za-

mierzam tak zrobić, po prostu byłam ciekawa.

SĄCZ JEDNO

Zofia, dentystka, mama 16-letniego Bartka: – Jak sama byłam w liceum, też były przecież imprezy, domówki. Pamiętam, że miałam taki system, że sączyłam przez cały wieczór jedno piwo, które sama sobie przynosiłam. Trochę wtedy może z oszczędności, ale przede wszystkim to był taki mój złoty środek. Żeby z jednej strony nie być tą jedną, która nie pije, a z drugiej – mieć nad tym jakąś kontrolę. Najgorzej chyba na takiej domówce pomieszać „trochę tego, trochę tamtego”, bo jeden przyniesie wódkę, ktoś słodkie wino itd. Młody organizm nie ma doświadczenia i łatwo można paść. Teraz, jak jest taka sytuacja, że Bartek jest gdzieś zaproszony i domyślam się, że może pojawić się alkohol, mówię wprost: „Kupię ci jedno piwo, chcesz? I sącz przez cały wieczór”. Wolę sama mu kupić, niż żeby potem kombinowali, stali pod sklepem i prosili obcych, żeby im kupili.

Wydaje mi się, że tak lepiej, niż robić z tego temat tabu. Wolę uczyć go rozsądku i umiaru, niż zakazywać. Bartek wie też, że choćby nie wiadomo co się działo, zawsze może zadzwonić i ja albo mąż przyjedziemy po niego. Pomóc. Do tej pory nigdy nas nie zawiódł.

KLUCZOWA JEST RELACJA

Michał Bydzicki, psycholog w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii „Kąt” w Aninie, psychoterapeuta: – Bardzo trudno byłoby mi poradzić rodzicowi nastolatka, co konkretnie ma powiedzieć czy zrobić w sprawie alkoholu. Czy można kupić mu jedno piwo, kiedy idzie na imprezę, czy lepiej kategorycznie się sprzeciwić. Albo co ma powiedzieć i zrobić ojciec, który wraca rowerem z pracy i widzi swoją 15-letnią córkę na ławce z koleżankami i winem. Mam poczucie, że alkohol jest tematem bardzo istotnym i oczywiście niesie ze sobą mnóstwo zagrożeń – ale to jest cały czas tylko kawałek tortu. Może zabrzmiał banalnie, ale najważniejsza jest jakość relacji między rodzicem a dzieckiem. Jeśli ta relacja jest świadomie i mądrze budowana przez rodzica, jeśli on w miarę potrafi rozmawiać, to te same konkretne zachowania wybrzmiały zupełnie inaczej.

Być może matka, która kupiła jedno piwo 16-latkowi, zważyła różne racje: jego potrzebę istnienia w grupie, swoją potrzebę przeka-

zania mu pewnej umiejętności kontrolowania takiej sytuacji (np. żeby nie pić czegoś, co ktoś inny przyniesie, co może być mocniejsze, niewiadomego pochodzenia) - i wyszło jej na to, że w ten sposób uwzględni różne czynniki. Z mojej perspektywy ważne jest, jak się w tym domu rozmawia o alkoholu. Czy ona obserwuje syna, zauważy i zareaguje, jeśliby popadł w kłopoty? Zupełnie czym innym byłoby, gdyby kupiła mu to piwo tylko po to, żeby mieć syna z głowy: masz i spadaj, nie truj.

Ojciec, który natyka się w parku na pijącą córkę, zareaguje tak, jak w tym momencie będzie umiał. Może zadzwoni na policję? Może weźmie ją za rękę i pójdą do domu? Może zadzwoni po rodziców innych dzieci? Może go zamuruje i powie tylko: „Widzimy się w domu wieczorem”? Każde z tych rozwiązań może być niezłe, o ile będzie dziecku później odpowiednio wytłumaczone.

Pracując od lat z nastolatkami, wiem, że jest im bardzo ciężko, jeśli rodzic kolejnych ekscesów „nie widzi”. Paradoks polega na tym, że dzieciaki potrzebują mieć stawiane granice i rodzice chcieliby je stawiać, ale często nie potrafią się w tym spotkać. Nastolatek oczywiście nigdy nie powie matce czy ojcu: „Chciałbym mieć szlaban”, ale już w rozmowie ze mną często pada: „Żeby chociaż głupi szlaban mi dali, a ich to nie obchodzi”. Oczywiście lepiej powiedzieć: „Nadużyłeś mojego zaufania, więc mam problem, żeby puścić cię na kolejny koncert, chciałbym poczekać, aż to zaufanie wróci”. Nie: „Teraz masz szlaban na wszystko, gówniarzu”.

Warto zastanowić się, czego tak naprawdę się boje, jeśli chodzi o kontakt nastolatka z alkoholem. Że po imprezach gorzej napisze maturę? Na pewno warto o takich rzeczach rozmawiać, bo z doświadczenia wiem, że młodzi ludzie często mają naprawdę małą wiedzę o mózgu i wpływie substancji psychoaktywnych na niego.

A może boimy się, że dziecko popełni nasze błędy? Jeśli rodzic codziennie po powrocie z pracy otwiera browara, to nie tylko nie będzie wiarygodny ze swoimi zakazami. Gorzej - on nie ma czasu budować z dzieckiem relacji. Nie rozmawia z nim, bo po alkoholu to nie jest żadna rozmowa. W takim wypadku trzeba by zacząć od siebie, od przyjrzenia się własnej relacji z procentami.

Można też się obawiać, że alkohol zwiększa ryzyko niebezpiecznych zachowań. To prawda, ale tu także jest szerszy kontekst. Warto włożyć wysiłek w to, by uczyć nastolatka ważyć, co w danej sytuacji jest bardziej niebezpieczne. Podam przykład. Klasa poszła na piwo po lekcjach. Jedna dziewczyna - ze względu na stan zdrowia - po jednym piwie straciła przytomność. A jej koleżanki i koledzy nie pomogli jej, tylko uciekli, bojąc się, że się wyda, że pili. Pogotowie wezwał

jeden przytomniejszy w całej tej sytuacji chłopak, który przy niej został.

Więc czy nasze dziecko - poza tym, że wie, iż nie akceptujemy jego picia - wie, że w razie czego zawsze mu pomożemy? Jeśli miało nocować u kolegi i wypilo, myśląc, że nie zobaczymy, ale jednak coś się stało i nie może zostać tam na noc - zadzwoni po nas, żebyśmy je zabrali? Czy będzie się włóczyło nocą po mieście, bojąc się nam pokazać na oczy?

Poczucie bezpieczeństwa nie oznacza jednak, że mamy chronić nastolatka przed naturalnymi konsekwencjami jego wysokości. Był na imprezie, wypił i nie poszedł do szkoły? Nie usprawiedliwiamy.

TRZY MILIONY ROCZNIE

Robert Rutkowski: - Według danych Światowej Organizacji Zdrowia rocznie umiera trzy miliony ludzi z powodu alkoholu. Dla porównania: od broni ginie rocznie pół miliona ludzi na świecie, wliczając w to wojny. Kiedy nastał COVID i liczba ofiar sięgała setek tysięcy, zatrzymaliśmy świat. Ofiary alkoholu przyzwyczailiśmy się traktować jako coś normalnego, taki pejżaż. Komuś może się wydawać, że to jest temat nie do ruszenia, przecież „wszyscy piją”. W roku 1994 przed Kongresem USA wystąpiło siedmiu potentatów przemysłu tytoniowego i pod przysięgą stwierdzili, że palenie nie szkodzi. Dzisiaj nas to bulwersuje i śmieszy, prawda? Całkiem niedawno jeszcze „cały świat palił”. Są ewidentne sygnały, że i tutaj zmiana społecznej świadomości jest możliwa. Ona już następuje. Francuskie stowarzyszenie antyalkoholowe wygrało proces w właścicielu Facebooka - sąd nakazał usunięcie reklam trunków. U nas były polityk, a obecnie biznesmen Janusz P. oraz showman Kuba W. zostali skazani za reklamowanie alkoholu. Kończy się epoka mrugania okiem.

Jednocześnie wiem z gabinetu, że część młodych dzisiaj świadomie unika alkoholu, w Warszawie istnieją imprezy bezalkoholowe, ten trend ma nawet swoją nazwę - NoLo. Wiem to głównie z opowieści dojrzałych wiekiem pacjentów, którzy opowiadają o swoich dzieciach. I nie mówię tu o rodzicach leczących się u mnie z uzależnienia, tylko np. z coachingu. Czyli nie są to domy alkoholowe, tylko zwykłe.

NA SAMOTNOŚĆ

Monika, 38 lat: - Zaczęłam pić jako 13-latką. Najpierw to było piwo na obozie letnim, piwo „na koniec podstawówki”, kiedy poszliśmy to uczcić całą klasą, piwo z sokiem malinowym z koleżanką z klasy, bo czułyśmy się dorosłe. U mnie to się bardzo szybko

przekształciło w picie samej. W ósmej klasie miałam całą baterię butelek - pełnych i pustych - w szafce przy biurku. Obok lalek Barbie, które jeszcze tam leżały. Chyba bardzo szybko się nauczyłam, że wypicie piwa pomaga „na odwagę”. Czym się denerwowałam? Na przykład rodzice zapisali mnie na kurs angielskiego, gdzie wszyscy poza mną byli już licealistami i wstydziłam się być dzieciakiem. W liceum alkohol na pewno „pomagał mi” radzić sobie z samotnością, zagubieniem. Bo chłopak mnie rzucił, bo nie ogarniałam samotnych wieczorów - mieszkałam tylko z mamą, mama w tym czasie chorowała. Dopiero po latach widzę to z tej perspektywy. Pamiętam, jak już na studiach, przed ważnym spotkaniem z profesorem, które też było dla mnie ogromnie stresujące, bo miałam zaprezentować wyniki kilkumiesięcznej pracy, weszłam do kawiarni i zamówiłam dwa podwójne kieliszki białego wina, jeden po drugim. Podeszła do mnie kelnerka, bardzo miła. „Wszystko w porządku?” - zapytała. Zdziwiło mnie, że widzi. Chyba dlatego zapamiętałam tę sytuację. „Tak, w porządku - odpowiedziałam z uśmiechem. - Tylko idę na spotkanie z profesorem i trochę się denerwuję”. „A, to okej, znam to”. Tyle.

Chciałabym podkreślić, że w moim domu rodzinnym nie było nigdy problemu alkoholowego, a mama to z używek nie piła nawet kawy. Moje baterie butelek nie zostały nigdy „odkryte”, choć specjalnie ich nie ukrywałam, wystarczyłoby otworzyć moją szafkę. Co by to wtedy zmieniło? Nie wiem, nie potrafię sobie wyobrazić.

Uświadomienie sobie mechanizmów, które mną wtedy kierowały, zajęło mi lata. Aż dziwne, że przez tyle lat uważałam, że miałam sielskie dzieciństwo: prestiżowe liceum, kursy, zagraniczne wyjazdy, potem elitarne studia. Modne ubrania. Niewątpliwie miałam też miłość rodziców, choć życie potoczyło się tak, że byli w tamtym okresie bardzo zajęci sobą. Dopiero teraz, wracając wspomnieniami, potrafię przyznać, jak ta mała prymuska bywała samotna.

Teraz się trzymam. Jako osoba dojrzała uważam na to, żeby pić tylko w towarzystwie, jeśli już, i mało, raczej symbolicznie. Generalnie tak właśnie jest. Ćwiczę jogę i pływanie, to mi pomaga. Czasami zdarza się dzień, że sobie odpuszczam i postanawiam jednak wieczorem sama się napić przed snem. Jak to mówią: świat na trzeźwo bywa nie do zniesienia.

Robert Rutkowski: - Stwierdzenie, że „świat na trzeźwo bywa nie do zniesienia”, jest bardzo prawdziwe. Nie mówimy przecież o tym, że świat jest łatwy do zniesienia, a życie jest miłe i lekkie. Pytanie, jak my postanowimy radzić sobie ze swoim życiem. A to już nasz wybór. ♦



Pedro Almodóvar,
genialny reżyser
filmowy, odsłania
swoją nową twarz
- pisarza

KSIĄŻKA

Almodóvar: o sobie, o matce, o siostrze

To zaskakujące, że Pedro Almodóvar nie został pisarzem. Może nie miał nikogo, kto mógłby wiele lat temu przeczytać jego pierwsze opowiadanie i powiedzieć: chłopaku, pisz tego jak najlepiej! Zamiast tego zaczął kręcić filmy, które zmieniły życie wielu ludzi na świecie, w tym moje. Dorastałem z jego bohaterkami i bohaterami, poszukiwałem razem z nimi własnej tożsamości, marzyłem o przyjaciółkach, które elegancko piją kawę, żeby po chwili rzucić się w wir szalonej imprezy. Obserwowałem dojrzewanie Almodóvara, a także - w przypadku jego ostatniego filmu „Matki równoległe” - rozliczenie z niełatwą przeszłością Hiszpanii. Czy dorastałbym wraz z jego książkami, gdyby młody Pedro postanowił jednak poświęcić się sztuce opowiadania?

We wstępie do „Ostatniego snu” pisze, że tak naprawdę, tworząc filmy, również zajmuje się opowieściami, wykorzystując po prostu inne medium. Ale od razu wspomina o literackim powołaniu: „Od dziecka wiedziałem, że jestem pisarzem, zawsze pisałem. Jeśli coś było dla mnie jasne, to moje powołanie literackie, a jeśli czegoś nie jestem pewny, to swoich osiągnięć”.

W opublikowanym zbiorze opowiadań widać wiele dialogów, scen i bohaterek, które znamy z filmów Almodóvara. Jest para kochanków, którzy po wielu latach postanawiają znowu wspólnie pracować nad filmem i sztuką teatralną. „To wszystko znajduje się w tej książce; odkrywam także, że tuż po przyjeździe do Madrytu, na początku lat siedemdziesiątych, byłem już osobą, w którą miałem się przeistoczyć: »Wizyta« przeobraziła się w »Złe wychowanie« dopiero w 2004 roku, ale gdybym miał pieniądze, już wtedy zadebiutowałbym jako reżyser

z »Joanną, świrniętą królową« albo »Ceremonią lustra« i dalej robiłbym filmy, które nakręciłem później”.

Na pierwszy plan wybija się opowiadanie o śmierci matki, ale moją uwagę przykuła pierwsza opowieść o siostrze, która postanowiła odwiedzić katolicką szkołę i zarządzającego ją ojca prefekta. Do szkoły chodził brat głównej bohaterki. Dziewczyna specjalnie na tę okazję ubrała się niezwykle wyzywająco, pesząc przy tym zakonników, miała jednak pewien plan, który zrealizowała z nawiązką. W kolejnym opowiadaniu poznajemy hrabiego, który postanawia opuścić świat i skryć się w klasztorze o zaostrozonym rygorze: wstępu nie ma tam żaden obcy człowiek, bracia poświęcają czas na modlitwę, ewentualnie na podziwianie zachodów słońca. Zapewniam was: tak czarnej i zabawnej, ironicznej oraz aktualnej komedii dawno nie czytałyście.

Almodóvar zarzeka się, że póki żyje, nie napisze autobiografii, nie pozwoli też na pracę biografów nad spisaniem jego losów. Ale ten zbiór opowiadań jest jego autobiografią, a także podróżą po świecie jego wyobraźni. Chce się te opowiadania czytać, rozmawiać o wątkach queer, o silnych kobietach, miłości w ciepłej Hiszpanii i tożsamości katolickiego kraju, który - tak jak my - przeszedł transformację. ♦ Arkadiusz Gruszczyński



PEDRO ALMODÓVAR „Ostatni sen”,
tłum. Katarzyna Okrasko, Agata Ostrowska,
Wydawnictwo Poznańskie

FILM

Słowa zakłęte
w tańcu

Tytułowa Houria (hipnotyzująca Lyna Khoudri) to młoda, nowoczesna, zakochana w tańcu Algierka. Jej świetnie zapowiadającą się karierę baletnicy przerywa wypadek, z którego wychodzi ze złamaną kostką i psychiczną traumą, której rezultatem jest to, że przestaje mówić. Wydaje się, że jej świat rozpadł się na kawałki, a wszystkie marzenia legły w gruzach. Podczas zajęć rehabilitacyjnych Houria poznaje jednak grupę kobiet, które okazują się bardzo do niej podobne. Każdą w inny sposób poturboowało życie, każda zmagą się z jakimiś demonami. Ta wspólnota doświadczeń je łączy i sprawi, że Houria zacznie na nowo odnajdywać chęć do życia i pasję do tańca, który stanie się nie tylko przekazywaniem jej emocji, ale także zastąpi jej słowa. Film nagrodzonej Cezarem Mounii Meddour, jakkolwiek banalnie by to brzmiało, pokazuje siłę kobiecości, wspólnot opartych na siostrzeństwie doświadczeń. To też opowieść o poszukiwaniu wolności i wreszcie o tańcu – jego wyzwalającej i uzdrawiającej mocy. ♦ (Joanna Wróżyńska) „**HOURIA**”, reż. Mounia Meddour. W kinach

MUZYKA

Arlo Parks i jej
„miękką maszyną”

Krytycy i fani muzyki są zgodni, że Arlo Parks jest jedną z tych wokalistek, które należy mieć na oku. Już jej debiutancki album „Collapsed in Sunbeams” przyniósł jej trzy prestiżowe nominacje

do nagród Brit i nagrodę w kategorii Breakthrough Artist. Dwa lata po debiutanckim longplayu Parks powraca z krążkiem numer dwa, o którym mówi, że „ta płyta to życie ukazane przez jej osobisty obiektyw, przez jej ciało – niepokój połowy lat 20., nadużywanie substancji przez przyjaciół wokół niej, trzewia pierwszej miłości, zmaganie się z PTSD, żalem i radością, poruszanie się po światłach z zachwytem i wrażliwością”. Album o tym, „jak to jest być uwięzioną w tym konkretnym ciele”. Tytuł „My Soft Machine” jest nawiązaniem do filmu „Pamiętka” Joanny Hogg i to ponoć niejedyna filmowa inspiracja Parks. „My Soft Machine” jest popowa, subtelna, bardziej bujająca niż taneczna. Gościnnie udział w nagraniach wzięła Phoebe Bridgers, którą można usłyszeć w kawałku „Pegasus”. ♦ (Joanna Wróżyńska) „**MY SOFT MACHINE**”, **Trasgressive Records/PIAS**

TEATR

Kyrie eleison!

Spektakl „Ptaki ciernistych krzewów. Rzecz o miłości w kościele” rozpoczyna komunikat, że przedstawienie dotyka problemu instytucji religii wobec seksualności człowieka, dlatego każdy, kto nie akceptuje w sztuce tej tematyki, może otrzymać zwrot opłaty za bilet. Jednak wszyscy, którzy oczekują kontrowersyjnej, uderzającej w Kościół sztuki, mogą poczuć się rozczarowani. Spektakl stworzony przez dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki” duet Jędrzej Piaskowski/Hubert Sulima jest szalenie czułą fantazją o miłosnych marzeniach osób duchownych, które mogłyby zostać zrealizowane, gdyby nie silne wtłoczenie w hierarchiczną instytucję Kościoła. Twórcy przenoszą nas w czasie do roku 2033 i zapraszają na terapię osób duchownych prowadzoną przez Anję Rubik. Przedstawienie z powieści Colleen McCullough „Ptaki ciernistych krzewów” po-

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

„Musiałem nim potrząsać przez dobrą minutę (...)”

ale nikt się nie budził

twoją piękną twarz
maszynka pamięci rozkrusza
jak gipsową maskę

zapuszczam włosy żeby
układały się jak włosy wody
w ziemi

na obrazach
siedzą górnicy ze zgiętymi
kolanami a na ich kolanach
siedzą kobiety wypełnione
po same brzezi ciałem

przed obrazami
siedzą widzowie i przytulają się
ich ciała jak pieczęcie

podnosiłam potrząsałam śpiącymi
ale nikt się nie obudził

ALEKSANDRA BARTELSKA współtworzy zin poetycki „Poezzin”.

Prowadzi Nową Księgarnię w Nowym Teatrze w Warszawie.

Autorka wierszy i tekstów krytycznych o literaturze

MAGDALENA KILARSKA RYSUJE



życza tylko tytuł i temat, czyli miłość w Kościele. ♦ (Sandra Zakrzewska) „**PTAKI CIERNISTYCH KRZEWÓW. RZECZ O MIŁOŚCI W KOŚCIELE**”, reż. Jędrzej Piaskowski, Teatr Polski w Bydgoszczy, premiera odbyła się 19 maja

Osobna

Artystką została osobną. Nie chciała naśladować matki, nie budowała towarzyskich aliansów. Zwykle gdy miała iść na wernisaż albo do lasu, wybierała ten drugi

TEKST PAULA SZEWCZYK

Nie jest ciekawa. I życie ma nudne. Wstaje, siada, maluje. Chodzi z psami po lesie, z koniem po łąkach. O czym tu pisać? Inni mają przygody, zwroty akcji, ona nie. Ale jest bardzo zadowolona. Szczęście miała wielkie, że życie przebawiła, malując.

OCZYWISTOŚCI NIE LUBI

Urodziła się z przeprowadzki. Jej matka Krystyna Kozłowska była w zaawansowanej ciąży, gdy przesuwała w nowym mieszkaniu szafę. Dostała na nie przydział w 1954 roku na odbudowującym się Starym Mieście. To było jej przeznaczone. Raz, bo kamienicę, w której mieszkała wcześniej, niemiecka bomba w powstaniu wysadziła w powietrze. Dwa, że jeszcze jako studentka malarstwa ściennego w warszawskiej ASP Kozłowska własnoręcznie ozdabiała polichromią wznoszone z gruzów budynki. Dekoracje jej autorstwa przy Mostowej, Kościelnej czy Szerokim Dunaju można tam oglądać do dziś.

Weronika Naszarkowska-Multanowska na Starówce już pozostanie. – Widzi pani, jaka jestem nudna? Całe życie pod jednym adresem – żartuje dziś 68-letnia malarka.

Pamięta, że może nie był to dom otwarty, przez który goście przewijali się tam i z powrotem, ale umówionych spotkań bywało sporo. Wpadały głównie mamy przyjaciółki, te jeszcze z tajnych kompletów, koledzy z architektury, malarze. Jako dziewczynka Weronika myślała, że wszyscy wokół mają wyższe wykształcenie, bo poza gosposią nie znała innych ludzi niż artyści. Często wówczas chorowała. Matka, chcąc ją czymś w domu zająć, dawała jej to, co miała pod ręką – papier i farbki. Córka malować lubiła, miała dostęp do prawdziwych farb, nie dzieciennych akwarelek. Mimo to nie chciała zostać, jak mama, malarką. To byłoby zbyt oczywiste, a ona oczywistości nie lubi.

Ojciec? A to przyniósł jej z biura maszynę do pisania – miała dzwoneczek wydający dźwięczne „dziń” – idealną do zabawy. A to czytał córce na głos, niekoniecznie bajki, wybierał raczej to, przy czym sam się nie nudził, choćby „Noce i dnie”. Weronika uwielbiała

śluchać, rozumiała jeśli nie powody intryg, to na pewno obrazy. Takie ma z nim z dzieciństwa wspomnienia.

Bo choć po przeprowadzce zamieszkał z nimi, miał już jeden dom. W nim żonę i pierwszą córkę. Starszą o osiem lat siostrę, której Weronika nigdy tak naprawdę nie będzie mieć.

OD SIEBIE DO SIEBIE

Stare Miasto w czasach jej dzieciństwa było zupełnie inne niż dziś, zaprojektowane jak osiedle mieszkaniowe. Na jej ulicy po jednej stronie mieszkali artyści, po drugiej – ubecy. – Widać to było w stanie wojennym. Gdy ktoś biegł i próbował się ukryć, po „naszej” stronie słychać było z okien: „Tutaj, tu!”. Po „ich”

Gdy profesor matematyki

napisał w dzienniczku

uwagę: „Nie radzę sobie

z pańską córką”, *ojciec*

odpowiedział tylko:

„Ja też”, i to było tyle

stronie: „Tam pobiegł!” – opowiada dziś artystka w swoim domu w Emowie. Pamięta też ulokowane wokół pracownie projektowania, ceramiczne, rzeźbiarskie. Sami znajomi. W jednej z nich matka wypalała córce dziecięce figurki. Naszarkowska, będąc już matką, szła na dół tylko po pietruszkę, a nie było jej trzy godziny, bo z tym parę słów, z tamtym parę słów. Potem to się skończyło. Ludzie się zmienili, mieszkania zamieniono w noclegi dla turystów. Wyprowadziła się z ulgą, ale też od siebie do siebie. Bo przecież w Emowie pod Warszawą, gdzie mieszka od czterech lat, bywała wcześniej całe życie. U babuni, która w przeciwieństwie do córki Krystyny na Starówkę już nie wróci.

Choć Krystyna Kozłowska tworzyła w czasach komuny, udało się jej przez nią przejść

bokiem, nie malowała dzieł socrealistycznych w treści. Gdy wojna się skończyła, wyjechała do Krakowa uczyć się malarstwa, bo Akademia otworzyła się tam ponownie szybciej niż w Warszawie. Ale nie postudiowała długo, została zatrzymana i osadzona na Montelupich. Za walkę w powstaniu. Miała raptem 22 lata, gdy upadało. Naszarkowska-Multanowska nie wie, co dokładnie działo się tam z matką. Z jej opowieści pamięta tyle, że przez jakiś czas musiała spotykać się z kimś gdzieś na bezdrożach. Wróciła do domu, bo jak pisał Andrzej Skalmowski w biografii „Sigalin. Towarzysz odbudowy”, wykorzystując swoje wpływy, ubecki areoszt pomógł jej opuścić naczelnego architekta Warszawy Józef Sigalin. Pięć lat później urodziła się im córka Weronika.

OCZYWISTOŚCI NIE DA SIĘ OSZUKAĆ

Maturę pisała w gipsie, złamała nogę. Przewróciła się, idąc na w ekstremalnie wysokich obcasach, ale głupio było jej się do tego przyznać, utrzymywała więc, że to na koniach. Szkoły udawało się jej przejść bez uczenia się. – Jak twierdził mój kolega, działo się tak, bo traktowałam nauczycieli jak znajomych – opowiada nad herbatą. Krótkie białe włosy niemuśnięte nawet farbą, okulary w wielkich oprawkach i szeroki uśmiech. Była dzieckiem starszych rodziców, bywało u nich mnóstwo ludzi, z profesorami przechodziła na ty. – Nauczyciele jakoś nie śmieli mnie pytać i ode mnie wymagać – mówi. Bo jej zdaniem nie chodziło o ich respekt wobec ojca, wpływowego architekta.

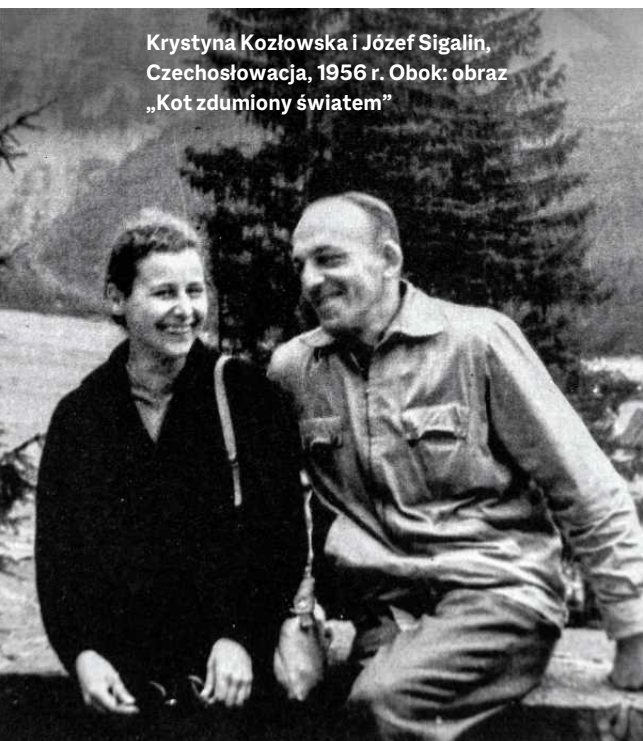
Zajęty odbudową stolicy Józef Sigalin ze szkołą córki styczność miał raz. Gdy profesor matematyki napisał Weronice w dzienniczku uwagę: „Nie radzę sobie z pańską córką”, ojciec odpowiedział tylko: „Ja też”, i to było tyle. Rodzice nie chodzili zresztą na żadne wywiady. Matka powiedziała córce, że ma się uczyć, jak chce, a gdy Weronka nie chciała iść do szkoły, mówiła jej: „To nie idź”. Bo wiedziała, że to, czego córka nie usłyszy w szkole, opowiedzą jej z ojcem w domu. Być może podejdzie Krystyna Kozłowskiej wynikało też z przeżyć wojennych, które wyrobiły w niej poczucie odpowiedzialności

**WERONIKA
NASZARKOWSKA-
MULTANOWSKA**

(ur. 1954) – malarka, scenografka,
twórczyni autorskich książek
„Pamiętnik pewnej damy”, wyd.
PRS, „Emów od świtu do świtu”,
wyd. Dwie Siostry, „Zaraza,
notatnik malarki”, wyd. Nisza



Krystyna Kozłowska i Józef Sigalin,
Czechosłowacja, 1956 r. Obok: obraz
„Kot zdumiony światem”





Na górze: „Pamiętnik. Wiosenna osobność”; po prawej: „Pamiętnik. Sklep dla artystów”

człowieka za samego siebie. Zresztą Weronika poza dziewczynskim chichotem na lekcjach nie sprawiała wychowawczych kłopotów. Od siódmego roku życia jeździła konno, nie miała wyjścia, musiała być zdyscyplinowana i dobrze zorganizowana.

W szkole jakoś jej szło, bo też była bystra. Denerwowało ją, że wszyscy dookoła uważali, iż wybierze Akademię, więc poszła na matematykę. Szybko zrozumiała, że wybitną matematyczką nie będzie, zmieniła kierunek na filozofię. Ale i tu doszła do wniosku, że nie zostanie indywidualnością w świecie logiki, a ambicje do bycia kimś szczególnym jednak miała duże. Do trzech razy sztuka - zapisała się na egzamin do ASP. Ojcu nie powiedziała ani słowa. Nie chciała, by „towarzyszowi odbudowy” przyszło do głowy przedzwonić na Krakowskie Przedmieście. Gdy zdała, doznała iluminacji - wreszcie była na właściwym miejscu. Oczywiście nie dało się oszukać.

CZEMU NIE KTOŚ INNY

Chciała zostać scenografką, ale za jej czasów, koniec lat 70., takie studia można było zrobić tylko podyplomowo. Wybrała architekturę wnętrz, by nauczyć się potrzebnego do scenografii kreślenia. Malarstwo, rysunek, rzeźba, projektowanie - to były jej żywioły. Niestety, wiele przedmiotów, jak technologie czegoś tam, jej kompletnie nie obchodziło. Dlatego gdy chciano Weronikę wyróżnić nagrodą rektorską za dyplom, na uczelni debatowano, czy studentce z trójami wypada ją wręczać. Przygotowała wówczas na pracę dyplomową film z przeźroczy robiony ręcznie klatka po klatce. Bo założyła, że komisja na pewno będzie się nudzić, oglądając same makiety, chciała więc jej członków nieco rozerwać.

Zacząła pracę w teatrach, głównie lalkowych, w których to scenograf jest twórcą świata. - Ale moja kariera, odwrotnie niż u innych, pikowała w dół. Zaczęłam niezłe, a po-

tem robiłam w coraz gorszych miejscach. Teatr mnie rozczarował, był próbą pracy zespołowej, ale nieudaną - mówi o zawodowych początkach. Miała pomysły, chciała odejść od klasycznych scenografii, zamiast zastawek i butaforii ze styropianu proponowała przestrzenne projekcje. - Myślę, że wyprzedziłam czas, ale może teatr nie był wtedy na to gotowy? - zastanawia się.

Podjęła jeszcze jedną próbę pracy z ludźmi - jako doradczynie w firmie modowej. Wytrzymała jeden dzień. Gdy zrozumiała, że narzucanie swoich gustów klientom godzi w jej przekonanie o wolności wyborów i prawie do błędów, zwolniła się. Wróciła do źródła - malowania.

Zaskoczyła ją, gdy cykl prac o jej pierwszym samochodzie, małym cinquecento, zaczął się w warszawskiej Gallerii 32 nieprawdopodobnie sprzedawać. Sytuacje z polskich dróg z polskimi podpisami zyskały aplauz u cudzoziemców. - Miło było zarabiać masę pieniędzy, ale nie mam pojęcia, co o tym sukcesie zdecydowało - zapewnia autorka, jakby nadal była tym zaskoczona. Pamięta, że pierwszą osobą, która zakupiła jej prace, była amerykańska ambasadorowa. Po niej po obrazy zgłaszały się kolejne damy. Czasy komuny, znajomi nie mogli się nadziwić, skąd pod domem Weroniki co rusz parkują czarne limuzyny z amerykańskimi flagami.

Podoba sytuacja zdarzyła się jej w życiu jeszcze raz, podczas budowy hotelu Marriott. Zwróciła się do niej holenderska firma poszukująca obrazów „w dużej ilości”, które mogłyby ozdobić jedną z sal. Zapytali Naszarkowskiej: za ile? Zaproponowała cenę, uznali, że to zbyt wiele. Po co tak powiedziałam, nie mam pieniędzy! - myślała wtedy, ale po jakimś czasie oddzwonili, że się zgadzają. Zamówili 20 sztuk, mało tego, w amsterdamskiej galerii zorganizowali sprzedaż obrazów. Znowu niebotyczne pieniądze, jakich już później nie zarobi. - Nigdy nie zrozumiałam, czemu ja, nie ktoś inny.

II

- Czy mnie denerwuje, że pytają mnie o ojca? A skąd! Raz jestem jego córką, raz właścicielką swojej osoby. Zresztą pytana o niego mówię: „Proszę do pana Andrzeja, bo ma większą wiedzę niż ja!” - chodzi o Skalmowskiego, autora książki o ojcu Weroniki Naszarkowskiej-Multanowskiej Józefie Sigalinie. Sama nie ma wiedzy o niektórych wątkach z jego życia, bo pewnych pytań nie zdążyła ojcu zadać. On pod koniec życia chorował, ona zaczęła pracę, a przy tym miotała się z małym dzieckiem, rozwodem. Nigdy nie było okazji, by pogadać jak dorosła z dorosłym. A kiedy była na to gotowa, umarł.

Zresztą dla niej naczelnym architektem był przede wszystkim towarzysz zabaw i spacerów. Pamięta, że rodzice mieli plan pedagogiczny, by pokazać córce Polskę. Jeździli po niej tu i tam planowo, z dzienniczkiem. Ojciec żył głównie swoją pracą, życie rodzinne było do niej raczej dodatkiem. Gdy się od nich wyprowadził - malarz tak to dziś pamięta - i tak bywał u nich codziennie. Czy go jej nie brakowało?

- W pewnym sensie miałam ojca bardziej niż te dzieci, które z ojcami mieszkają, bo kiedy nas odwiedzał, był tylko dla mnie. Miał też taką naturę, że zawsze coś razem robiliśmy. Nie pamiętam, żebyśmy tęskniły. Był niesłychanie zajęty człowiekiem, a wyrwał dla mnie fragmenty dnia, więc to i tak było dużo. Czy zostawał u nas na noc, było mi obojętne.

- Opowie pani o Teresie? - pytam, bo z książki „Sigalin” nie wynika, by siostry były ze sobą blisko.

- Ja mało wiem! - uprzedza Weronika Naszarkowska-Multanowska.

- Bywało pani przykro, że jest druga dziewczynka, z którą jest ojciec, kiedy nie ma go z panią?

- Nie, był pełny rozdział między tamtą rodziną a nami. Ani nie znałam tamtej dziewczynki, ani nie miałam poczucia, by ktoś mi

coś zabierała. A mama nie przenosiła na mnie swoich emocji względem ojca.

- Nie rozmawiała z nią pani o tym?

- Byłam ukochaną córeczką taty i mamy, o co miałam pytać? Wiedziałam, że jest Teresa, że ojciec był kochliwy, ale mnie to w ogóle nie dotyczyło. Z Teresą miałam zerowy kontakt. Na chwilę tylko się widywałyśmy po śmierci jej matki, ale chorowała, miała kłopot ze swoją osobą. Była bystra i inteligentna, ale niezaradna, chciała, bym się nią opiekowała. Próbowalam, ale mnie to przerosło, miałam akurat małe dziecko i jakoś się nam ten kontakt urwał.

Teresa Sigalin, córka Józefa i Hanny, zmarła w Warszawie w 2010 roku. To Andrzej Skalimowski wszedł po jej śmierci do mieszkania, by przejrzeć pamiętki i dokumenty po naczelnym architekcie. Weronika Naszarkowska-Multanowska nie chciała tego robić, miała poczucie, że to nie jej zadanie. Życia jej i Teresy były oddzielne. Siostrą była osobną.

ŻYCIOWY DOROBEK

Krystyna Kozłowska była osobą introwertyczną, jej nazwisko nie otwierało wówczas wszystkich drzwi. W przeciwieństwie do nazwiska ojca. Weronika korzystała czasem z jego znajomości, ale głównie po to, by pomógł jej np. zorganizować bilety na Spotkania Teatralne, po które zwykle stało się w długich kolejkach. Ojciec chwycił wówczas za słuchawkę, przedstawiał się: „Tu Józef Sigalin”, i gdy słyszał w odpowiedzi: „Ach, pan inżynier”, wiadomo było, że bilety się znajdują. Gdy odpowiadano: „Kto?”, mówił tylko: „Przepraszam, pomyłka”. Więcej interwencji nie było potrzebnych.

Jeśli chciałyby zostać architektką, pewnie trudno byłoby jej zapracować jako córka „tego” Sigalina na indywidualność. Problem odpadł, nie miała takich planów. Pewną trudność miała jednak z matką. Bycie w tym samym zawodzie co rodzic to pozycja i dobra, i zła. Bonus jest taki, że Weronika wiele dostała na

start, niektóre rzeczy były dla niej oczywiste, wręcz leżały na stole. - Ale na studiach i po nich robiłam wszystko, żeby nie iść marną drogą. Walczyłam, by jej nie kopiować w malowaniu, ale i w codziennym życiu. Jej wnętrze było minimalistyczne i sterylne? To ja miałam potrzebę zaznaczyć w nim inność. Dziś, gdy czuję się pewnie w zawodzie, jestem zachwycona, gdy znajdę wątek, który mnie z mamą łączy - mówi.

Naszarkowska-Multanowska i artystką była osobną, szukała swojego wyrazu, choć właściwie Kozłowska robiła coś zupełnie innego niż córka. Pierwsza - polichromie, wielkie mozaiki; druga - scenografie, obrazy. Trudno te formy porównywać. Weronika pamięta z opowieści matki, jak wielkie wrażenie zrobił na niej widok płonących płócien Malczewskiego. Może dlatego Kozłowska wybrała sztukę trwałą, monumentalną? Jednak mimo że jej prace miały trwać, przegrały z czasem. Ocalała tylko mozaika „Europa na byku” w Hotelu Europejskim.

Weronika, dopóki nie wyszła za mąż, nosiła jej nazwisko. Naszarkowską została jeszcze na studiach, po ślubie. Urodziła się córka Klara, ale małżeństwo było krótkie, nie ma o czym mówić. ASP ukończyła w 1981 roku, początek jej kariery przypadł na stan wojenny. Pierwszą wystawę miała dopiero pięć lat później. Jak dotąd jej obrazy pokazywano na 70 wystawach zbiorowych i 30 indywidualnych.

Gdy poznała drugiego męża, nie chciała z poprzedniego nazwiska rezygnować, trudno w jej zawodzie być nagle kimś od nowa. - Czasem żartuję, że te nazwiska to mój dorobek życiowy - mówi. Czemu nie nosiła nazwiska po ojcu? Właściwie nigdy nie przyszło jej to do głowy, po co? - Widzi pani, jaka jestem nieciekawka! - żartuje, dodając przy tym, że to dzięki drugiemu mężowi, Andrzejowi Multanowskiemu, z którym tworzą małżeństwo nadzwyczaj udane, może codziennie chodzić z psami po lesie, z koniem po łąkach. Przebawiać życie, malując.

III

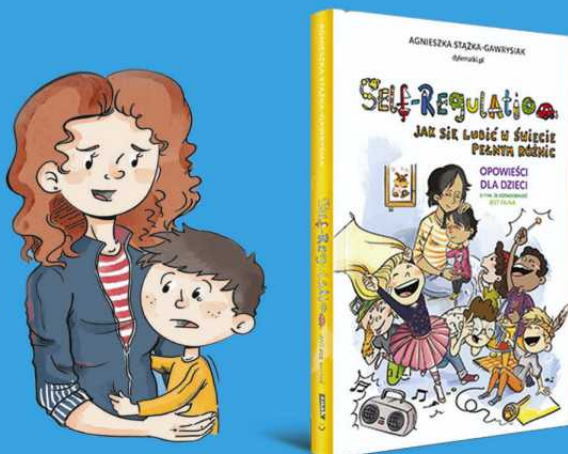
Jeszcze o zwrotach akcji. W życiu Weroniki Naszarkowskiej-Multanowskiej być może zdarzały się rzadko, bo właściwie nigdy nie zetknęła się z instytucjami. - Jak się człowiek nie zwiąże, to go ciężko wyrzucić - precyzuje. Choć ten brak związania ma czasem swoje konsekwencje, choćby finansowe. Jeśli ma się zgodę na niewygodę, można z gratyfikacji zrezygnować, tak jak ona. Konsekwencja druga, może nawet bardziej dla artystki dotkliwa: skoro nie podtrzymywała instytucjonalnych relacji, nie zajmowała się promocją tego, co robi, trudniej było jej w zawodzie istnieć. - Nie doceniałam wagi budowania aliansów zawodowych z galeriami, kuratorami, krytykami. Po prostu robiłam swoje - opowiada. Została w branży osobna.

Osobna z wyboru, może z natury. Bo zwykle jak miała iść na wernisaż albo do lasu, wybierała ten drugi.

Taki osobny jest też sam Emów. U babuni Amelii spędzała w nim od małości miesiąc wakacji. Mimo to ma stąd więcej wspomnień niż z pozostałych jedenastu na Starówce. Dziadka Ludwika nie poznała, zmarł na raka płuc w '42 roku. Amelia mieszkała w leżącym w Mazowieckim Parku Krajobrazowym Emowie ze swoją szwagierką, choć odkąd się pokłócili o jakieś głupstwo, przez następnych 25 lat ze sobą nie rozmawiali. Weronika pamięta, że przez środek domu przewieszona była oddzielająca je od siebie zasłona. Ciotka Apolonia, charakterna przedwojenna nauczycielka polskiego, zawsze siedziała w oknie, czytała książki i paliła papierosy, ale nie wolno było się do niej odzywać. Kobiety w tej rodzinie były uparte i zasadnicze. Zmarły wkrótce po sobie.

Od tamtej pory w zbudowanym w stylu świdermajerów drewnianym domu z 1929 roku Weronika znajduje swoje letnie odosobnienie, ostatnio zamieszkała tam także zimą, na stałe. Wstaje, siada, maluje, tak jak lubi. ♦

REKLAMA



SELF-REGULATION

NAUCZ DZIECKO, JAK CZUĆ SIĘ DOBRZE
W ŚWIECIE PEŁNYM RÓŻNIC!

NOWY TOM BESTSELLEROWEJ
SERII DLA DZIECI I RODZICÓW!



Nie pracuję na *urlopie*

Przedszkole i szkoła mają mój numer telefonu i numer taty dzieci. W 100 proc. przypadków dzwonią do mnie, do mojego partnera nigdy



JUSTYNA CIEPKA

Dyrektorka zarządzająca Haleon w Centralnej i Wschodniej Europie. Specjalizuje się w przyspieszaniu wzrostu oraz przemianach i transformacjach biznesowych.

Z JUSTYNĄ CIEPKĄ
ROZMAWIA EDYTA BRYŁA

Chcę powiedzieć, że się da.

Co się da?

Mieć fajną pracę i fajną rodzinę. Nie jest łatwo, ale się da i warto.

Co jest trudne?

Oczywiście obciążenie obowiązkami, wygospodarowanie czasu. Zająć nie będzie mniej po urodzeniu dziecka. To ciągła walka o dobre planowanie. Jak się jeden plan wywali, to konieczny jest nowy.

Czasem jest telefon z przedszkola, że dziecko chore. Jadę po nie albo jedzie mój partner. Przecież i tak bym się nie skupiała na pracy, póki bym nie wiedziała, co się dzieje z dzieckiem.

Swoją drogą przedszkole i szkoła mają mój numer telefonu i numer taty dzieci. W 100 proc. przypadków dzwonią do mnie, do mojego partnera nigdy. To czysto kulturowe. Jak już dzwonią do mnie, to nie powiem im, żeby dzwoniли do mojego partnera. To ja do niego dzwonię, jeśli nie mogę wyjść.

Ale tak naprawdę w tym wszystkim najtrudniejsze jest zarządzanie poczuciem winy, a nie czasem.

To znaczy?

Teraz na przykład mój trzylatek ma katar i oczywiście przeszło mi przez myśl, że może nie powinnam być w pracy, tylko z dzieckiem. Mogłabym poczuć się winna. Ale mam to przepracowane. Wiem, że dziecko ma też troskliwego tatę, było już u lekarza, to nic poważnego, mogę pracować.

Obwinianie się do niczego nie prowadzi. Każdy ma prawo do realizowania się, robienia tego, o czym marzy.

Wczoraj na kolację była pizza i dziś też będzie pizza? Trudno, jeszcze nikogo to nie zabiło. Trzeba sobie takie rzeczy odpuścić, nie bić się nimi po głowie.

Jest pani dyrektorką generalną Haleon na Europę Środkowo-Wschodnią. Od początku tak sobie pani wyobrażała swoje życie i karierę?

Z domu wyniosłam przekonanie, że rodzina i praca to oczywistość. Rodzice oboje zawsze pracowali i jasne było, że praca i rodzina się nie wykluczają. Byli parą już na studiach, studiowali te kierunki, które chcieli, i dla nich było oczywiste, że będą pracować w swoich zawodach.

Nie było takiego tematu, że mama miałaby zrezygnować z pracy, bo ma dzieci. Nie zastanawiała się, czy da się ogarnąć pracę i rodzinę jednocześnie, ale tylko – jak to zrobić.

Dzięki temu sama sobie tego pytania nigdy nie zadałam. Wiedziałam, że chcę

mieć jedno i drugie, nie miałam żadnego dylematu.

To nie tak, że każda kobieta też tak musi. Ale dla niektórych kobiet to może być duży ciężar, jeśli czują, że muszą wybrać jedno albo drugie, i boją się konsekwencji takich wyborów. Mnie w każdym razie wyszło na dobre, że dylematu nie miałam.

Pomogło mi też to, że miałam ogromne wsparcie ze strony rodziców, i bardzo jestem im za to wdzięczna. Mama nigdy nie próbowała mi mówić, że czegoś nie powinnam robić, bo jestem dziewczyną.

Tego samego chcę dla swojej 12-letniej córki. Żeby robiła to, co sprawia jej radość, żeby się spełniała. I żeby wiedziała, że zawsze będę ją wspierała, cokolwiek w życiu wybierze.

Martwi się pani, jak sobie poradzi?

Do niedawna myślałam, że kobietom w pracy będzie stale coraz lepiej. Ale czytałam niedawno tekst Sheryl Sandberg, byłej szefowej operacyjnej Facebooka, że jeśli nic nie zmienimy, to udział kobiet w życiu zawodowym będzie spadał. Ja w swoim otoczeniu tego nie widziałam, ale według statystyk po pandemii w USA spadła liczba kobiet aktywnych zawodowo.

Nakręca mnie inspirowanie dziewczyn, by w siebie wierzyły. Ale widzę często, że nie realizują swojego potencjału, nie wierzą w siebie tak, jak powinny wierzyć, same się blokują, mówią, że nie dadzą rady.

Obserwowałam to w każdej firmie, w której pracowałam. Jest rekrutacja. Pytam się

Mówię kobietom wprost:

„Będziesz świetna, nie musisz

umieć wszystkiego i mieć każdej

kwalifikacji, żeby aplikować”

dziewczyny: „Dlaczego nie aplikujesz?”. Odpowiada mi, że nie ma wystarczających kwalifikacji. A ja na to: „A wiesz, że mężczyzna by aplikował? Nawet jakby miał 50 proc. kwalifikacji?”. Kobiety zastanawiają się, czy będą na tym stanowisku wystarczająco dobre – i to jest to, co kobiety blokuje. Wtedy mówię wprost: „Będziesz świetna, nie musisz umieć wszystkiego i mieć każdej kwalifikacji, żeby aplikować”.

Zachęcam też do używania networkingu, żeby mówiły o tym, co robią. Chcę, by były zachęcane do tego, żeby próbować ze wszystkich stron.

Do czego by je pani zachęcała?

Żeby się nie bać aplikować na wyższe stanowisko. W kobietach, które mają dzieci, siedzi przekonanie, że wyżej sobie nie po-

radzą, że nie będą miały na wszystko czasu. To je blokuje. A to wcale nie musi być aż tak trudne. Może być tak, że nowe stanowisko da takie możliwości, że wręcz będzie łatwiej wszystko pogodzić. Naprawdę warto próbować i się nie blokować na starcie, jeśli ma się marzenia.

Im wyższe miałam stanowiska, tym oczywiście większe było obciążenie i odpowiedzialność, ale nie szło to w parze z ilością godzin w biurze. To, że mam więcej na głowie, nie znaczy, że więcej siedzę przed komputerem. Odkąd mam dzieci, pilnuję, by popołudnia i wieczory spędzać z nimi. Ale bywa, że coś mi się przypomni, zaczynam się zastanawiać nad pracą i to ona znowu mnie zajmuje.

Kiedyś, na początku kariery i przed dziećmi, pracowałam rzeczycywiście bardzo dużo i ciągle podróżowałam. To było wykańczające, ale też cudownie ten czas wspominam. Co dzień zwiedzałam świat. Choć już tyle nie podróżuję, to właśnie teraz mam pracę życia. Lepiej nie będzie.

Podobno nie wierzy pani w utrzymywanie równowagi między pracą a życiem osobistym.

Bo to dla mnie abstrakcyjny temat. To brzmi, jakby życie prywatne i zawodowe to były dwa obozy, które trzeba równoważyć. Tył że dbałość o rodzinę można różnie definiować: że koszule są wyprasowane albo że mam zawsze czas, by usiąść z rodziną i porozmawiać. To kwestia indywidualna.

Poza tym w pojęciu równowagi jest wskazanie, by oba obszary były idealnie zadbane. A przecież nawet jednego nie da się ogarnąć perfekcyjnie. Perfekcyjne ogarnięcie dwóch jest już poza zasięgiem człowieka.

Dla mnie równowaga to robienie w obu obszarach tego, co najważniejsze. Pilnuję, żeby rodzina była zdrowa, żebyśmy rozmawiali i żeby tworzyć dzieciom taki dom, do którego będą chciały wracać. A nie, czy w niedzielę zrobiłam ciasto.

W firmie – żeby to było dobre miejsce pracy i żeby to, co robimy, przynosiło efekty.

Myślę, że coraz więcej kobiet myśli podobnie. Mają świadomość prawa do własnych wyborów i że nie muszą podporządkowywać się wzorcom, które nie wiadomo kto i dlaczego ustalił.

Co by pani powiedziała na czterodniowy tydzień pracy?

Czytuję o tym, ale nie mam opinii. Mnie byłoby bardzo trudno zmieścić pracę z pięciu dni w czterech. Zabrałoby mi to czas dla dzieci.

A jakby nie wciskać pięciu dni w cztery, tylko pracować mniej po prostu?

Zarządzam 34 rynkami. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła to robić w krótszym czasie.

Może nie chodzi nawet o godziny pracy, ale pewien rytm, który chcę utrzymywać.

Zawsze wykorzystuje pani cały urlop?

Zawsze, łącznie z dniami na dziecko i innymi. Tydzień urlopu na regenerację biorę co najmniej raz na kwartał, bardzo tego pilnuję.

Gdy w pracy w Niemczech miałam 30 dni urlopu, to też go wykorzystywałam. Nie pracuję też na urlopie, odcinam się. Wyjeżdżam gdzieś, gdzie jest dużo natury, las i woda, bo dużo pływam.

Kiedyś na jednym ze szkoleń z przywództwa usłyszałam, że dobra liderka ma o siebie dbać. Umęczona i wykończona niewiele zdziałała. A zdrowie fizyczne ma ogromny wpływ. Słabe jest też siedzenie w biurze przez osiem godzin, więc na przykład spotkania jeden na jeden lepiej przeprowadzać na spacerze, nie za stołem.

Dbam o siebie także przez sport. Raz w tygodniu rano przed pracą idę na siłownię, w cie-

bie nie znaczy, że praca będzie gorsza. Kiedyś widziałam, jaki był efekt pracy dwóch kobiet - menedżerek, które pracowały na pół etatu. Jedna osoba na całym etacie nie zrobiłaby tego, co one we dwie, zarządzając działem, bo nawzajem się inspirowały, nakręcały.

Ale wiem, że w wielu firmach nie ma takiej elastyczności, niższa jest świadomość, jakie to niesie korzyści. To kobiety spowalnia.

Już 43 proc. firm w Polsce zatrudnia kobiety na stanowiskach kierowniczych. Ale wciąż słyszę, że kobiety dochodzą do tych stanowisk o wiele większym wysiłkiem niż mężczyźni.

To pewnie nie jest doświadczenie wszystkich kobiet, ale gdy aplikowałam na różne stanowiska, nigdy nie miałam poczucia, że jestem oceniana przez pryzmat płci. Jeśli tak było, to tego nie widziałam.

43 proc. to dobry wynik i jest odczuwalne to, że kobiet na wysokich stanowiskach jest dużo.

My też się możemy pochwalić, że u nas w zarządzie Centralnej i Wschodniej Europy (34 rynki) jest osiem kobiet na 15 osób. To więcej niż równo.

Ale znowu - dla mnie ważne jest, żebyśmy się w tym nie cofnęły. Ważne

jest, żeby mieć takie same prawa i obowiązki, żeby była równość. Dziewczyny, z którymi rozmawiałam, mówią, że taką równość w naszej firmie mają. Byłoby dobrze, żeby w większości firm było nas po połowie, ale to bardziej droga niż kierunek.

A mnie zawsze nakręcać będzie inspirowanie dziewczyn, by mocno w siebie wierzyły. ♦

Byłoby dobrze, gdyby w większości

firm byłoby nas po połowie,

ale to bardziej droga niż kierunek

plym sezonie bardzo często jeżdżę do pracy rowerem, 17 km w jedną stronę. Wychodzi 15 minut dłużej niż samochodem, ale czyści mi to głowę i wpływ na zdrowie jest ogromny.

Czasem jadąc rowerem, włączam się też zdalnie na zebranie. Lepiej wtedy słucham, jak mi nie latają slajdy przed oczami i nie czytam czatu.

Firma powinna wspierać rodziców w ogarnięciu obowiązków?

Elastyczność to jedno z najważniejszych udogodnień, jakich się domagają zwłaszcza kobiety. To zmienia bardzo wiele. Póki praca jest wykonana, to nie jest ważne, w jakich godzinach ktoś ją wykonał. Można zaczynać później, jeśli rano jest wizyta u lekarza czy inna sprawa. Nigdy nie widziałam, żeby matka, która odkłada pracę na później, bo musi się zająć dzieckiem, w końcu jej nie wykonała.

W Haleon nikt nie musi dziś pytać o zgodę, czy może wyjść wcześniej do domu, bo dla mnie to żadna różnica, skąd będzie pracował. Nie trzeba się spieszyć do pracy na 9, można przeczekać korki w domu. Kiedyś przyprawiało to nas o poczucie winy i stres, dziś jest naturalne. Korzystają z tego wszyscy pracownicy, ale robi to ogromną różnicę zwłaszcza dla rodziców.

Ważne też, by firmy oferowały powrót po macierzyńskim na część etatu. To wcale

e-mail: listy@wysokieobcasy.pl

adres: ul. Czerska 8/10,

00-732 Warszawa, telefon: 22 555 66 00

LIST TYGODNIA

Znalazłam go na profilu randkowym

Jestem szczęśliwą i spełnioną kobietą. Jeszcze dwa lata temu nie mogłabym tego powiedzieć. W małżeństwie mi się nie udało, samotnie wychowywałam syna, byłam ojcem i matką, lwem i lwicą, ciągle walczącą o życie pełne niezapomnianych chwil. Był czas, gdy pracowałam na trzech etatach. Miałam pieniądze, potrafiłam zapewnić dziecku wiele atrakcji, ale ta gonitwa była rozpaczliwym wołaniem o to, za czym tęskni każda kobieta. Było to wołanie o miłość, prosba o człowieka, który nie tylko będzie, ale i zapewni to, czego oczekiwałam również dla swojego syna. Na mojej drodze zjawilo się kilku, ale żaden nie był godzien mojego serca. Założyłam więc profil na portalu randkowym i tak znalazłam jego (jak igłę w stogu siana). Miałam ogromne szczęście, bo to, co ofiaruje mi ten człowiek każdego dnia, jest tym, o czym nawet nie marzyłam. Nie sądziłam, że można z kimś się tak wspaniale zgrać! Jesteśmy szaleni, spontaniczni, nieokiełznani. Uwielbiamy podróżować, wędrować po górach, jeździć na rowerach, śpiewać karaoke, malować na płótnie, spełniać marzenia! Tak bardzo kochamy życie, że mamy wiele planów. Założyliśmy kanał na YouTube „Para z plecakiem”, przeszliśmy fragment hiszpańskiego Camino, za chwilę lecimy na cztery dni w Alpy tylko po to, aby zrobić sobie zdjęcie z Mont Blanc w tle! Jestem wdzięczna za tę miłość. Bardzo chciałabym podzielić się nią z czytelnikami magazynu i dać im nadzieję na prawdziwą miłość. ♦ **Czytelniczka**

NAGRODY

Autorka listy otrzyma wodę perfumowaną unisex Missguided Babe Heat oraz książkę „Złoty dom” autorstwa Jessie Burton, Wydawnictwo Literackie



ŻYCIE ZAWODOWE. ROZMOWY O PRACY


To nasz nowy cykl, w którym zastanawiamy się wspólnie z ekspertkami i ekspertami, praktyczkami i praktykami, czytelniczkami i czytelnikami nad tym, czym praca stała się w naszym życiu i jakiej pracy potrzebujemy. Ostatnie lata sprawiły, że wiele aspektów naszego życia zmieniło się diametralnie.

Czy to dobrze, czy źle? Jak sobie z tym poradzić?

Czytajcie nas, piszcie do nas!

wysokieobcasy@wysokieobcasy.pl

OGŁOSZENIE



ŻYCIE ZAWODOWE
ROZMOWY O PRACY

ORGANIZATORZY:
wysokieobcasy.pl
wyborcza.pl

PARTNERZY:
ROCKWOOL
BENEFIT SYSTEMS



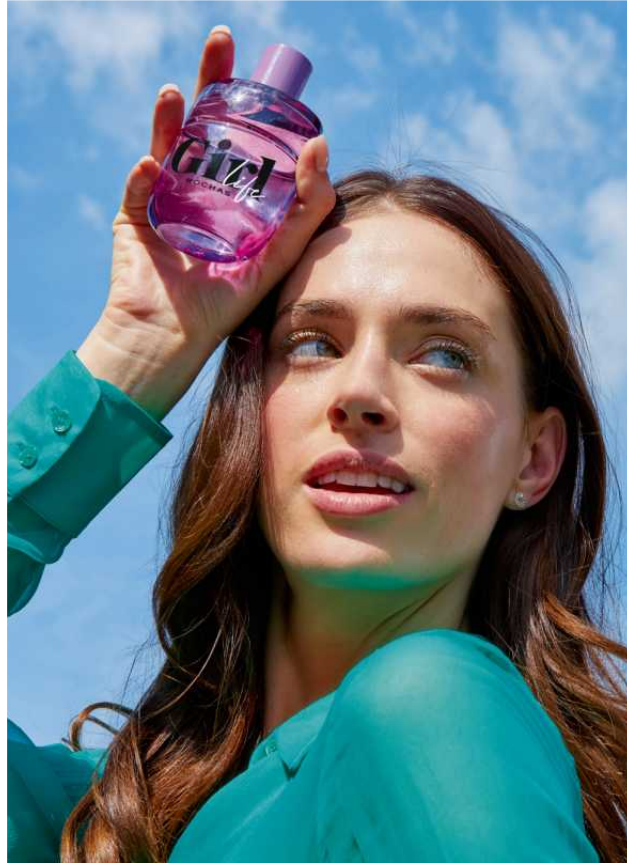
KROPLA NA WŁOSKU

Nawilżamy ciało, twarz, warto również zadbać o poziom nawilżenia włosów. Kosmetyki z linii Nutrisubstance marki Medavita mają działanie nawilżające i odżywcze. Zawierają masło shea oraz aminokwasy, które restrukturyzują włókna włosów, wypełniając luki w łusce. Serum rozświetlające w kroplach (50 ml / 195 zł).



WIĘCEJ WŁOSÓW

Nowy spray Ever Thicken marki Kevin Murphy to kosmetyk dla osób o cienkich, delikatnych włosach. Jest aktywowany ciepłem suszarki. Pogrubia oraz optycznie zagęszcza włosy, jednocześnie utrwalając fryzurę. Receptura oparta na bawelnie organicznej i ekstrakcie z kielków grochu (150 ml / 177 zł).



PRZYPLYW ENERGII

Girl Life to nowy ambrowo-kwiatowy zapach marki Rochas. Jak pachnie? Aromat kwiatu tuberozy wzmocniony jest musującą nutą różowego pieprzu na bazie kremowo-drzewnej wanilii. Ta wegańska woda perfumowana zawiera certyfikowany olejek różany oraz absolut jaśminu (EDP, 75 ml / 379 zł, Douglas Polska).

MUSY Z PAPAJĄ I SMO CZYM OWOCEM

Nowa linia Bandi Juicy Power to kosmetyki pachnące owocami i kuszące formułami, m.in. dwa puszyste musy. Odmładzający mus zawiera smoczy owoc, kolagen roślinny oraz silnie przeciwzmarszczkowy heksapeptyd. Odżywczy mus polecany jest do cery skłonnej do przesuszenia. W jego składzie jest ekstrakt z papai, który delikatnie złuszcza, fitoceramidy działające nawilżająco oraz naprawczy owies koloidalny działający kojąco (40 ml / 49 zł).



NAWILŻAJĄCA SIŁA SERII

Wiosna i lato to czas na nawilżanie. Seria Pro-Age Hyalu AA jest przeznaczona do skóry odwodnionej z pierwszymi zmarszczkami, pozbawionej jędrności. Serum z tej serii zawiera cztery formy cząsteczkowe kwasu hialuronowego, które działają na wielu poziomach skóry, aby ją nawilżyć, wygładzić i ujędrnić. W składzie są także stymulujące syntezę kolagenu w skórze peptydy i witamina C, która również ją rozjaśnia, oraz niacynamid aktywujący syntezę ceramidów; serum przeciwdziała też niedoskonałościom cery (serum 35 ml / 35,99 zł).



Serce bije mocniej *na Wschodzie*

Gosia Szumska postanowiła samotnie pojechać na Wileńszczyznę, na Syberię i do Kazachstanu. Śladami babci i dziadka



Gosia Szumska, z wykształcenia aktorka, z zamiłowania podróżniczka. Na zdjęciu z babcią Janką urodzoną na Wileńszczyźnie, która po wojnie znalazła się w ZSRR. W 1949 r. babcia została zesłana na Syberię

TEKST MAGDALENA WOJCIECHOWSKA

Skoro ja w czasie wojny sama sobie poradziłam i nic się nie stało, to ty w XXI wieku tym bardziej dasz radę - usłyszała 24-letnia wtedy Gosia od babci Janki, kiedy postanowiła samotnie pojechać na Wileńszczyznę, na Syberię i do Kazachstanu.

Babcia Janka opowiadała małej Gosi i jej siostrze Marcie swoją historię. - Inne dzieci miały opowieść o Czerwonym Kapturku i wilku, który zjada babcię, a ja słuchałam opowieści o wilku syberyjskim, który polował na zesłańców. O tym, jak dziadek w czasie wojny był w partyzantce i jak podkładał proch pod tory. Zamiast o Jasiu i Małgosi słuchałam o gulagu.

Dziadkowie Gosi urodzili się na Wileńszczyźnie, która po wojnie znalazła się w ZSRR. W 1949 r. dziadek został zesłany za partyzantkę do gulagu na terenie obecnego Kazachstanu, a babcia razem z rodzicami - uznanymi za wrogów ludu - na Syberię.

Dziadkowie byli już małżeństwem, a przez kilka lat nie mieli ze sobą kontaktu. Dziadek mógł wysłać jeden list na pół roku. Babcia przez te wszystkie lata czekała na jego powrót. Kiedy dziadek został zwolniony z gulagu, wyjechali na Dolny Śląsk, do Złotego Stoku.

SAMOTNE PODRÓŻE

Gosia Szumska z wykształcenia jest aktorką (studiowała we Wrocławiu i Nowym Jorku), z zamiłowania podróżniczką i pisarką. Myśl, aby odwiedzić miejsca z babcinych opowieści, zaświtała jej, kiedy sama zaczęła podróżować.

- Mieszkałam przez kilka miesięcy w Nowym Jorku, pracowałam i studiowałam aktorstwo. Wtedy zrozumiałam, że bycie samemu w obcym mieście nie musi być niebezpieczne i że jest wyjątkowym odczuciem. Potem były samotne Indie, dwa tygodnie byłam w aszramie, gdzie studiowałam jogę, a następnie zwiedzałam z mapą narysowaną odręcznie przez koleżkę.

Od tego czasu zwiedziła 46 krajów, większość solo.

Do Wilna poleciała samolotem. Potem podróżowała autobusami, koleją transsyberyjską, autostopem. - Całość podróży była zaplanowana dość nieporadnie, nie byłam pewna, czy trafię do wskazanych przez babcię wiosek, nie byłam też pewna, czy po 60 latach babcia pamięta nazwy na tyle dobrze, by odnaleźć je na mapie - opowiada Gosia.

KROCZĄC ŚLADAMI DZIADKÓW

Samo odnalezienie wioski Mokrusza, w której babcia spędziła cztery lata, było dość



KOBIEТЫ W PODRÓŻY

Życie w Kańsku na Syberii biegnie w innym tempie. Szumska: „Przypomina mi moje dzieciństwo w Polsce w latach 90.”

skomplikowane logistycznie, bo trudno było się tam dostać.

Gosia Szumska: - Nie jeżdżą tam autobusy, musiałam liczyć na dobro ludzi. Nie ma hotelu, a gdzieś trzeba było spać. Najpierw natrafiłam na ruiny szpitala, w którym pracowała babcia. Kiedyś ta wioska była większa, ale ze stu domów zostało zaledwie kilkanaście. Zagadnęłam pierwszego człowieka, którego tam spotkałam, i przeczytałam mu nazwiska znajomych babci.

Ostatnie brzmiało: Szura Biegowatowa. Okazało się, że ją zna i że kobieta ta nazywa się teraz Kalesnikowa i mieszka wioską dalej, w Nowej Mokruszy. To była najlepsza przyjaciółka mojej babci, z którą się przyjaźniła przez te cztery lata zsyłki. Ale przez 60 lat babcia nie wysyłała jej listów, bo się bała pokazać, że ma kontakt z Syberią, bała się, że ktoś znowu ją wpakuje w bydłocy wagon i wyśle na śmierć. Zapukałam do drzwi Szury i powiedziałam, kim jestem.



Na górze: „Mieszkancki wsi Mokrusza pomogły mi odnaleźć dom, w którym prawdopodobnie moja babcia mieszkała podczas zsyłki”. Na dole: „Dom Szury, przyjaciółki mojej babci, którą odnalazłam po 60 latach ich rozłąki”



Była radość. Był płacz. Spędziłam z nią dwa dni, rozmawialiśmy i piłyśmy samogon. Tego samego wieczoru babcia zadzwoniła do niej i obie popłakały się ze szczęścia. Tylko rachunek za telefon był olbrzymi.

Kiedy Gosia pojechała w tę podróż, dziadek już nie żył. Kazachstanu nie zwiedziła dokładnie, bo brakowało jej wielu informacji. Wiedziała tylko, że dziadek był gdzieś w Dżezkazganie, ale po dawnych gułagach nie ma już śladu. Ważne było, by dotrzeć do małej wioski o nazwie Dolinka, gdzie znajduje się wielkie muzeum gułagów. Tam wnuczka zostawiła dokumenty zsyłkowe swojego dziadka, by już na zawsze stał się częścią tej historii.

W domu w Złotym Stoku czekała na nią babcia, która prosiła, żeby jak najszybciej wracała. Tak bardzo nie mogła

- Kiedyś spotkałam szamana nad Bajkałem, powiedział, że płynie we mnie wschodnia krew i że zawsze, kiedy poczuję wiatr ze wschodu, będę chciała ruszyć w podróż - opowiada. - Może rzucił na mnie klątwę, a może powiedział to, co zawsze czułam? Kiedy zaczynam czuć niepokój, wiem, że wieje ten wschodni wiatr i potrzebuję ruszyć dalej w podróż.

Gosia mówi, że ta podróż śladami dziadków wiele zmieniła w jej postrzeganiu podróżowania. - To była pierwsza moja podróż, która miała jakiś cel. Wcześniej podróżowała dla przygody, a Syberia mi uświadomiła, że to są ucieczki od dorosłości i tylko przedłużam sobie wakacje - opowiada.

Kolejna podróż miała inny charakter. Gosia Szumska pojechała na Filipiny, aby pomóc ludziom poszkodowanym

W kolejną podróż Gosia pojechała na Filipiny,

aby pomóc ludziom, gdy ich domy

zniszczył tajfun Yolanda

doczekać się opowieści z podróży. Tak bardzo chciała zobaczyć zrobione podczas niej zdjęcia. Teraz to Gosia snuła opowieści o Wileńszczyźnie, Syberii. Teraz to babcia była słuchaczką.

Z tej podróży powstała książka „Zielona sukienka. Przez Rosję i Kazachstan śladami rodzinnej historii”. Niedługo ukaże się jej kontynuacja. Gosia postanowiła porozmawiać z Polakami, którzy po wojnie zostali na Litwie.

- Podczas podróży na Syberię zadawałam sobie pytanie, dlaczego nie chcieli wyjechać i być Polakami w Polsce. Wiedzieli, że będą mniejszością, jednak zostali na ziemi swoich ojców. Przemierzam ciągle Wileńszczyznę i rozmawiam z ludźmi. Kolejny raz po tej podróży śladami dziadków pojechałam tam dwa miesiące po śmierci babci. Spotkałam mężczyznę, który, jak się okazało, znał moją babcię i był w niej zakochany, ale był od niej dużo młodszy. Dlaczego nie poznałam go, kiedy moja babcia jeszcze żyła?

GDY WIEJE WIATR ZE WSCHODU

Małgorzata mówi, że na Wschodzie serce bije mocniej. Czuje, że kraj, z którego pochodzą jej dziadkowie, jest też jej. Czuje się tam najbardziej „u siebie”.

podczas tajfunu Yolanda. Pomagała odbudować domy tym, którzy je stracili, a po powrocie powstała też książka o tym, jak szukać szczęścia - „Twarze tajfunu. O poszukiwaniu szczęścia na Filipinach”.

SAMOTNA PODRÓŻ? JUŻ NIEKONIECZNIE

Gosia Szumska: - Zawsze myślałam, że będę samotną podróżniczką i nawet jak będę miała dzieci i męża, to będę ich zostawiać i jechać. Kiedy byłam w dłuższym związku, zrozumiałam, że samotna podróż na Kubę już nie raduje, bo pojawia się tęsknota. Polubiłam też podróże z mamą, która jest wspaniałą towarzyszką. Ale prawda jest taka, że tylko w podróży solo mam serce otwarte na przygodę. I na wschodni wiatr.

Kiedy pandemia wstrzymała podróże, Gosia postanowiła pisać o tym, na czym się zna i co jest jej znajome. Tak powstały „Legendy i baśnie Gór Złotych”, poradnik ślubny „Wesele we własnym rytmie” oraz najnowsze przygody Bolka i Lolka - śladami polskich skarbów. Obecnie trwają prace nad wspomnianą książką o Litwie i żyjących tam Polakach oraz nad drugą - o uważności w podróży. Premiery obu książek przewidziane są na rok 2024. ♦



”

Znakomicie skonstruowana powieść o człowieczeństwie. Tak prawdziwa, aż trudno uwierzyć, iż czyta się fikcyjną historię.

”

MICHAŁ NOGAŚ

znak



Serce dla zwierząt

Trzeba myśleć przede wszystkim o dobru zwierzaka, a nie o tym, kto będzie pasował do naszego idealnego obrazka

Z DAWIDEM OWCZARKIEM,
LEKARZEM WETERYNARII,
ROZMAWIA ZUZANNA KUFFEL

Jakich pacjentów najczęściej przyjmujesz?

Najczęściej leczę psy z niedomykalnością zastawki mitralnej i koty chorujące na kardiomiopatię przerostową. Są rasy psów szczególnie narażone na choroby kardiologiczne, np. cavalier king charles spaniel. To psy tak urocze, że każdego do siebie przekonają, ale większość z nich, niestety, w jakimś momencie życia będzie musiała spotkać się z kardiologiem z powodu niewydolności serca.

Można operować te choroby?

Najczęściej stosujemy leczenie farmakologiczne. W Polsce niektóre choroby zwierząt już operujemy. Kardiologia weterynaryjna pręźnie się rozwija. W ciągu pięciu czy dziesięciu lat może i do naszego kraju wejść kardiochirurgia. Na Zachodzie podjęto próby wstawiania psom nowych zastawek.

Czytałam, że zwierzętom wszczepia się już w Polsce rozruszniki.

To prawda, od niedawna to już się dzieje. Mogę odsyłać pacjentów z zaburzeniami rytmu na wszczepienie rozrusznika. Sam tego nie robię. Zajmuję się głównie diagnostyką obrazową.

Ludzie często diagnozują się prywatnie, ale leczą chirurgicznie już na NFZ, bo operacje są drogie. Nie ma w Polsce powszechnie dostępnego ubezpieczenia zdrowotnego dla zwierząt, które pokrywałoby wysokie koszty operacji. To będzie przeszkodą we wprowadzeniu innowacyjnych zabiegów w Polsce?

Myślę, że to będzie trudne. W niektórych zachodnich krajach działają ubezpieczenia zdrowotne dla zwierząt, które dobrze sprawdzają się w nagłych sytuacjach. Zagraniczni lekarze weterynarii mówili mi, że gorzej jest,

kiedy zwierzak potrzebuje opieki przewlekłej. Z tego, co mi wiadomo, nie mamy obecnie w Polsce ubezpieczyciela, który zaopatrywałby zwierzęta tak, jak nas zaopatruje NFZ. Specjalistyczny sprzęt i materiały są bardzo drogie. Podobnie kosztowne są szkolenia. Robimy kursy specjalizacyjne głównie z zasobów prywatnych.

Często się zdarza, że właściciele twoich pacjentów nie stać na leczenie? Mojej znajomej lekarz wycenił operację psa na 2 tys. zł. Jako alternatywę podał uspienie.

W takich sytuacjach staramy się pomagać właścicielom. Nie jesteśmy w stanie obejść kosztów minimalnych danych procedur medycznych, ale czasami rozkładamy płatność na raty. Sugerujemy też pomoc różnych fundacji. Można organizować zbiórki w mediach społecznościowych.

Wspomniałeś o kształceniu się z zasobów prywatnych. Na czym polega europejska specjalizacja z kardiologii weterynaryjnej?

W Polsce mamy bardzo szerokie specjalizacje weterynaryjne. Tutaj mogą być albo specjalistą chorób psów i kotów, albo diagnostyką obrazową. Chciałem zawęzić swoją działalność. Na leczenie chorób

Na czym ona polega?

Jest pięciostopniowa. Każdy stopień odbywa się w innym miejscu. Czwarty stopień specjalizacji, który uzyskałem w listopadzie, był w Luksemburgu. Każdy zjazd trwa pięć dni. Po nim, żeby zaliczyć dany stopień, trzeba zdać egzamin. Po wszystkich pięciu stopniach jest jeszcze egzamin końcowy, po którym uzyskuje się europejski tytuł specjalisty. Za jeden stopień specjalizacyjny płaci się około 15 tys. zł.

Dużo polskich absolwentów weterynarii decyduje się na taki wydatek?

Bardzo. Mamy wielu świetnych specjalistów. Praktycznie w każdym większym polskim mieście jest kardiolog weterynaryjny. Na każdym stopniu specjalizacyjnym, który robiłem, było kilkunastu Polaków. Jesteśmy zwykle jedną z najliczniejszych grup, chociaż dla nas to większy wydatek niż dla osób, które na co dzień zarabiają w euro. Warunki zatrudnienia lekarzy weterynarii za granicą są lepsze, więc sporo absolwentów polskich uczelni emigruje. Przez to - jak w medycynie ludzkiej - mamy braki kadrowe.

Tak jak medycyna ludzka, a czasami może nawet bardziej, weterynaria wymaga empatii. Jak sobie z tym radzisz?

Lekarz weterynarii musi mieć bardzo duże pokłady empatii. Ja zakładam też, że mam rolę dydaktyczną i staram się edukować właścicieli, żeby nie popełniali tych samych błędów,

Nic nie przynosi mi większej satysfakcji niż pies po leczeniu,

który zaczyna merdać ogonem

serca u zwierząt zdecydowałem się dzięki Erasmusowi. Z przyjaciółką wyjechaliśmy na jeden semestr do Neapolu, gdzie trafiliśmy na weterynaryjny oddział kardiologiczny. Bardzo nam się to spodobało. W Polsce mamy mniej lecznic, które funkcjonują jako szpitale. Zaraz po studiach zapisałem się na europejską specjalizację z kardiologii weterynaryjnym.

kiedy będą mieli kolejnego zwierzaka. Gdy pacjent ma terminalną chorobę i trzeba go pożegnać, muszę oczywiście przeprowadzać trudne rozmowy. Zawsze staram się uświadomić właścicielowi, że zwierzak nie rozumie, co się dzieje z jego ciałem, nie wie, dlaczego czuje ból. Dajemy właścicielowi też ankietę, w której może w miarę obiektywnie ocenić jakość życia swojego pupila - czy chętnie

je, czy chce się bawić, czy w ogóle wstaje czy tylko śpi itd. Dzięki takiej ankiecie łatwiej jest podjąć decyzję. Naszym celem jest przede wszystkim to, żeby zwierzaki nie cierpiały. Jeśli nie ma możliwości leczenia ani uśmierzenia bólu, proponujemy dobre, bezbolesne odejście. Konieczny jest dialog. Musimy też brać pod uwagę możliwości właściciela nie tylko w kwestii pieniędzy, ale też czasu.

Przychodzą do Ciebie czasami seniorzy, którzy bardzo kochają swoje zwierzaki, ale nie dają już rady zapewniać im wystarczająco dobrej opieki?

Czasami. Dla osób samotnych zwierzaki są często jedyną rodziną. Na szczęście, pracując w lecznicy osiedlowej, zna się sporo osób. Jeśli taki senior chce wpuścić kogoś do swojego życia, szukamy dla niego pomocy.

Sam masz albo miałeś zwierzęta?

Zwierzęta kochałem zawsze i zawsze chciałem mieć swoje, ale nie miałem takiej możliwości. Pochodzę z rodziny wielodzietnej. Wychowywaliśmy się w bloku. Moi rodzice śmiali się, że zwariowaliby, gdyby jeszcze do tego dołożył psa. Na weterynarię poszedłem, bo chciałem kiedyś wyjechać do Kanady albo Stanów i leczyć wilki w rezerwach dla zwierząt dzikich. Z czasem zarzuciłem ten plan. Na studiach planowałem, że jak tylko je ukończę, wezmę psa ze schroniska, ale im bardziej zagłębiałem się w weterynarię, tym lepiej rozumiałem odpowiedzialność, która się z tym wiąże. Dużo pracuję, a nie miałbym serca zostawiać zwierzaka samego na 12 godzin dziennie.

Zajmujesz się tylko psami i kotami czy też innymi małymi zwierzętami?

Przyjmuję także szynszyle, świnki morskie i króliki. Badania obrazowe wymagają dużo cierpliwości od nich, ode mnie i od właściciela. Paradoksalnie, im mniejszy pacjent, tym więcej zużywam żelu do USG. Zawsze sprzedam właściciela, że pod koniec badania wszyscy będziemy w żelu. Badanie nie wymaga sedacji pacjenta. Muszę przyznać, że właściciele zwykle potrafią je dobrze przytrzymać. Zwierzaki są często lustrzanym odbiciem swoich właścicieli, więc to ich staram się uspokoić najpierw. W skład badania kardiologicznego wchodzi badanie kliniczne, badanie echokardiograficzne oraz elektrokardiograficzne.

Jeśli zwierzak ma dużo sierści, trzeba go ogolić do EKG albo echokardiografii?

To zależy. Jeżeli mamy do czynienia z puchatym misiem, czasem musimy go ogolić. To bywa różnie odbierane, zwłaszcza jeśli leczymy psa wystawowego albo hodowlanego. Myślę, że ważne jest to, jak uzasadnimy,



DAWID OWCZAREK

- lekarz weterynarii. W grudniu 2022 r. uzyskał IV stopień specjalizacji z kardiologii weterynaryjnej w European School for Advanced Veterinary Studies. Leczy głównie małe zwierzęta z chorobami kardiologicznymi

że musimy wygolić kawałek sierści. Leczę niewiele zwierząt wystawowych. Zwykle przychodzą do mnie ludzie, którzy po prostu wzięli sobie do domu nowego członka rodziny.

Kiedyś marzył mi się cockapoo - mieszanka cocker spaniela i pudła - ale czytałam, że takie krzyżówki często mają problemy zdrowotne i że to jest nieetyczne.

Ważne jest to, żeby świadomie nie rozmnażać psów, mieszając rasy, jeśli nie mamy na to zgody Związku Kynologicznego, czyli jeśli dana rasa nie jest oficjalnie zatwierdzona. Trzeba myśleć przede wszystkim o dobro

zwierzaka, a nie o tym, kto będzie pasował do naszego idealnego obrazka. Przed nabyciem każdego zwierzęcia warto zapoznać się z charakterystyką jego rasy. Nie mówię tylko o wyglądzie, ale też o chorobach, które mogą u niego występować. Ważne jest, żebyśmy mieli świadomość, jakie badania wykonywać naszemu pupilowi i na co zwracać uwagę. Poza tym schroniska są pełne smutnych psów i kotów, które czekają na dom. Nie wiem, czy w takiej sytuacji rozmnażanie zwierząt poza rejestrowanymi hodowlami w ogóle jest etyczne.

Dużo powiedzieliśmy o wyzwaniach w weterynarii, ale ta praca chyba ma też pozytywne strony?

Naprawdę potrzebne jest do niej powołanie. Nie wyobrażam sobie siebie w innym miejscu. Nic nie przynosi mi większej satysfakcji niż momenty, w których pies po dwóch dniach leczenia zaczyna merdać ogonem. Cieszę się nawet, kiedy kot próbuje zrobić mi krzywdę, bo to znaczy, że odzyskuje energię i wraca do zdrowia. ♦

Antysemityzm chępliwy i niewinny

AGNIESZKA
GRAFF



Niedawno miałam okazję wypełnić ankietę pt. „Postrzeganie i doświadczanie antysemityzmu”. Badanie zleciła Agencja Praw Podstawowych Unii Europejskiej, przeprowadza się je w 13 państwach Unii, a jego cel to „lepsze zrozumienie wpływu antysemityzmu na życie Żydów”. Mam żydowskie pochodzenie, żydowską samoidentyfikację oraz europejski paszport, ale już po kilku pytaniach czułam się dziwnie niezrozumiana i lekko wkurzona. Czy ta ankieta aby na pewno skierowana jest do mnie? Klikając w kolejne kwadraciki, doszłam do wniosku, że Agencja o polskim antysemityzmie nie ma bladego pojęcia. Można by jej to i owo opowiedzieć, ale istnieje obawa, że i tak by nie uwierzyła.

Niektóre przejawy antysemityzmu są uniwersalne. Wspólne są teorie spiskowe (te o bankierach, rządzie światowym, a ostatnio także o pandemii). Wszędzie pojawiają się sugestie, że Żydzi wykorzystują Zagładę i wyolbrzymiają jej znaczenie. Neofaszystowskie graffiti też jest w różnych zakątkach świata podobne. Wiadomo – swastyki, zaproszenia do gazu, gwiazdy Dawida i szubienice oraz cyferki, które ponoć zawierają aluzję do Hitlera. W ankiecie padają też liczne pytania o sprawy, które polskich Żydów dotyczą w niewielkim stopniu, brakuje natomiast pytań, na które chętnie bym odpowiedziała. Przypisywanie wszystkim Żydom winy za politykę Izraela? Hmm. Raczej zdarza mi się w gronie znajomych Żydów na Izrael gremialnie narzekać. Klikam na „nie”. Dewastacja synagog? Nie zdarzyło się, chociaż cmentarzy to już owszem (w 2020 roku w Pszczynie, Tarnowskich Górach, Dobrodzieniu i Zabrze). Klikam, że bywało. Agencja pyta o ubój rytualny, obrzezanie i święta, ale nie pyta o ten szczególny rodzaj antysemityzmu, który w Polsce leje się wartkim strumieniem, a polega na agresywnych wyznaniach miłości do martwych Żydów i domaganiu się za to hołdów od Żydów żywych. Brakujące pytania dotyczą mrocznych kart polsko-żydowskiej historii i obsesyjnej potrzeby, aby je zaraz, natychmiast, całkowicie wybielić, przy okazji oskarżając potomków polskich Żydów o „obrazę”. Antysemityzm, o którym chętnie bym opowiedziała Agencji, jest pokręcony i pokrętny, kłamliwy i cyniczny, a polega na zaprzeczaniu istnieniu w Polsce antysemityzmu. W głośnym swego czasu eseju antropolożka Joanna Tokarska-Bakir nazwała to zjawisko „obsesją niewinności”.

To, co dzieje się wokół niewinności i obrazy po wywiadzie prof. Engelking dla TVN 24, ma szansę zaważać o laur pierwszeństwa ze sprawą Jedwabnego. Na czym ten arcy-polski skrypt polega? Oto urażony prawdą historyczną Polak domaga się od Żyda przeprosin. Ba, przeprosiny to mało, Polak pragnie odwetu. W tym przypadku w rolę Polaka wcielił się rząd, a w roli Żyda wystąpiła najpierw Barbara Engelking, potem Instytut Filozofii i Socjologii PAN, a wreszcie tysiące naukowców z całego świata, sygnatariusze listu protestacyjnego. W brawurowym felietonie na łamach „Dwutygodnika”

Adam Lipszyc skwitował sprawę następująco: „Ta jadowita cedzinada, od której robiło się zimno jak w karcerze i która w archiwach naszej gminy natychmiast ulokowała się tuż obok napaści Gomułki na Jasienicę, miała tylko jeden moment komiczny, kiedy to z patriotycznej arytmetyki premiera zaczęło z wolna wynikać, że Polaków Ratujących było więcej niż – panie kochanku – Polaków”. Prof. Michał Bilewicz, który od lat bada polski antysemityzm, uważa, że polityka historyczna PiS-u ma realne skutki społeczne: „Antysemityzm wtórny, sprowadzający się do zniekształcania i przemilczania historii Holokaustu, ma się w Polsce dobrze. Badania ostatniej edycji Polskiego Sondażu Uprzedzeń pokazują, że ponad połowa Polaków irytuje się, gdy ktoś wspomina o zbrodniach dokonanych w przeszłości przez Polaków na Żydach. Co czwarty Polak uważa, że Żydzi cynicznie wykorzystują polskie wyrzuty sumienia”.

Urażony prawdą historyczną Polak domaga się od Żyda przeprosin. *Ba, przeprosiny to mało, Polak pragnie odwetu*

Agencja Praw Podstawowych się o tym nie dowie, bo nie pyta, ale polskim Żydom zrobiło się ostatnio nad wyraz nieswojo. Zdarzyło mi się kiedyś uciekać w parku przed szaleńcem, który wrzeszczał na mój widok: „Ty żydowska szmato, ty komunistyczna dziwko!”. Zdarzyło mi się otwierać plugawe maile i zaraz je kasować. Zdarzyło mi się kulić na widok widzianych z okna pociągu napisów na murach. Jednak to wszystko pestka przy antysemityzmie obsesyjnie niewinnym i drapieżnie chępliwym, który bohaterstwem Sprawiedliwych – także tych, którzy uratowali mojego ojca, ukrywając ten fakt przed sąsiadami – wstecznie obdziela niezliczonych Polaków, a ode mnie, jako polskiej Żydówki, domaga się hołdów dla polskiej niewinności. Powiem dosadnie: chce mi się od tego rzygać, a z tego, co słyszę i czytam – nie tylko mnie. ♦

Agnieszka Graff – feministka, publicystka, wykładowczyni na UW, autorka wielu książek, m.in. „Matka feministka”

TEMAT NUMERU Francuska radość życia

PSYCHOLOGIA Czym jest syndrom DDD?

SEKS Czy spanie osobno jest dobre dla związku?

MENOPAUAZA Nowe odkrycia w terapii



**KSIĄŻKA
GRATIS**

